



JULES GABRIEL VERNE

---

# Miasto pływające

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



JULES GABRIEL VERNE

# *Miasto pływające*

TLUM. JADWIGA TERESA PAPI

## I

Dnia 18 Marca 1867 roku, przyjechałem do Liverpoolu. „Great Eastern” odpływał za kilka dni do Nowego Yorku, a ja na nim właśnie chciałem dla przyjemności jedynie odbyć podróż morską. Pociągał mnie ten olbrzymi statek i myśl przejażdżki po Oceanie Atlantyckim. Przy sposobności zamierzałem zwiedzić Amerykę północną; ale to było rzeczą podrzędną; na pierwszym planie stał „Great Eastern”, a dopiero potem kraj sławiony przez Coopera. Prawdziwie ten parostatek jest arcydziełem budowli mor-

skiej. Jest to coś więcej jak okręt, jest to pływające miasto, małe hrabstwo oderwane od gruntu Angielskiego, który przepłynąwszy morze, łączy się z lądem Ameryki. W wyobraźni mojej, rysowała się ta masa unoszona przez bałwany, jej zapasy z wiatrem, które wyzywała do walki jej zuchwalstwo wobec bezsilnego morza, jej obojętność na uderzenia fal i potęga tego żywiołu co wstrząsa „Warriorami” i „Solferinami” jakby jaką szalupą. Ale na tem wyobraźnia moja zatrzymała się. Widziałem to wszystko w ciągu podróży i mnóstwo innych rzeczy, nie tyczących się żeglugi morskiej. „Great Eastern” nie jest tylko machiną żeglarską; — to świat w miniaturze, i jeżeli unosi z sobą mnóstwo ludzi, to żaden badacz nie zadziwi się, spostrzegłszy nad nim, jakby na scenie olbrzymiej śmieszności, popędy i wszystkie namiętności ludzkie. Opuściwszy przystań, udałem się do hotelu Adelphi. Na 20 Marca ogłoszone było wyruszenie „Great Eastern”. Chcąc śledzić ostatnie przygotowania, postanowiłem zaraz się na nim umieścić, i prosiłem o pozwo-

lenie kapitana Andersona dowódcy parostatku. Przystał na to z uprzejmością.

Następnego dnia zaszedłem do portu budowli okrętów, tworzących podwójną krawędź dachów na brzegach Mersey. Mosty łyżwowe dozwoliły mi dosięgnąć nadbrzeża New Prince, t.j. rodzaju tratwy ruchomej; czulej na poruszenie przyptywu i odpływu morza. Jest to miejsce wylądowania licznych łódek obsługujących Birkenbead, przedmieście od Liverpoolu po lewej stronie rzeki Mersey. Mersey podobnie jak Tamiza, jest raczej strumykiem niż rzeką, jakkolwiek wpada do morza. Jest to obszerne zniżenie ziemi, napełnione wodą, prawdziwa dziura, której głębokość, umożliwia żeglowanie największym statkom; takim jak „Great Eastern”, któremu większa część innych portów jest stanowczo wzbroniona. Dzięki temu naturalnemu przywilejowi, strumyki Tamiza i Mersey, ujrzały z czasem wznoszące się prawie przy ich ujściu, dwa wielkie miasta handlowe, Londyn i Liverpool, podobnie jak kiedyś dla tych samych powodów, Glasgow nad rzeką Clyde.

W spadzistości New Prince dymił tender, mały statek parowy, przeinaczony do posługi „Great Eastern”. Umieściłem się na pokładzie napelnionym już robotnikami, którzy udawali się na ten parostatek.

Skoro siódma godzina z rana wybiła na wieży Victoria, tender rozpuścił liny, postępując z ogromną bystrością w górę rzeki Mersey. Za ledwie odpłynął, spostrzegłem na brzegu młodego człowieka, wysokiego wzrostu, mającego tę fizyjonomię arystokratyczną, która odznacza oficera Angielskiego. Zdawało mi się, że poznaję w nim jednego z moich przyjaciół — kapitana armii Indyjskiej, którego od wielu już lat nie widziałem. Musiałem się jednak mylić, gdyż kapitan Mac Elwin nie mógł wyjechać z Bombay; byłbym bowiem o tem wiedział. Zresztą Mac Elwin był to chłopiec żywy, nie dbający o nic, wesoły towarzysz, ten zaś chociaż przedstawiał podobieństwo rysów mego przyjaciela, wydawał się smutny i przygnębiony zgryzotą tajemną. Ktokolwiek on był, nie mogłem mu się lepiej przypatrzeć, gdyż ten-

der oddalał się szybko, a wrażenie wywarłe tem podobieństwem, zatarło się prędko w moim umyśle.

„Great Eastern” stał na kotwicy prawie o trzy mile dalej, gdzie były pierwsze domy Liverpoolu. Z brzegu New Prince dostrzedz go nie było można. Dopiero za pierwszym zakrętem rzeki zobaczyłem ten olbrzymi gmach. Rzekłbyś widząc go, że to rodzaj wysepki, do połowy w mgłach zanurzonej.

Przedstawił się najprzód z przodu uniknąwszy bałwanów; wkrótce jednak tender w inną skierował się stronę a parostatek ukazał się w całej długości. Wydał mi się jakim był: wielkim! Trzy lub cztery „składy węgla” przymocowane przy jego bokach, przez burty wycięte powyżej linii zanurzenia, wsypywały do niego swój ładunek węgla ziemnego. Przy „Great Eastern” te trzymasztowe małe statki, podobne były do bark. Olbrzym mógłby je prowadzić za sobą, jak szalupy parowe.

Tymczasem tender przybliżał się; przepłynął pod prawą stronę przodu „Great Eastern”

którego łańcuchy wyciągnęły się gwałtownie przez ciśnienie fali; wreszcie pozostawiwszy go na lewej stronie, zatrzymał się przy rozległych schodach, które się wiły u jego boków. W tej pozycji most tenderu dotykał tylko części niezanurzonej parostatku, tej części której miał on dosięgnąć w pełni ładunku a która teraz wystawała jeszcze na dwa metry. Robotnicy wysiadali z pośpiechem i wstępowali na liczne piętra schodów, które się kończyły u spodu okrętu. Ja jako turysta oglądający wspaniałą gmach, stałem z głową w górę wzniesioną korpusem w tył pochylonym, i zastanawiałem się nad kołami „Great Easternu”.

Widziane z boku, koła te wydawały się małe, chociaż długość szprych była czterometrowa; widziane wprost, przedstawiały się olbrzymio. Misterne okucia, budowa silna, punkt oparcia w całym systemie poprzeczne belki przeznaczone do umocowania dzwona, ta obwódka szprych różowych, ten mechanizm w połowie przysłonięty cieniem szerokich przyrządów zdobiących całość; wszystko to razem uderza-

ło umysł wywołując w nim wyobrażenie jakiejś siły dzikiej i tajemniczej.

Tender wysadził swoich pasażerów. Wszedłem na żelazne rowkowane schody a w kilka minut potem dostałem się na przód parostatku.

## II

Pokład wyglądał obecnie jak ogromny warsztat, przeznaczony dla całej armii robotników. Nie wierzyłem własnym oczom, że jestem na okręcie. Tysiące ludzi, rzemieślników, służby okrętowej, mechaników, oficerów, robotników, z ciekawości patrzących, mijali się i potracali wzajemnie. Jedni na pokładzie, inni przy maszynach, inni wśród lasu masztów wszystko to nie do opisania. Tu latające żórawie unosiły olbrzymie kawały lanego żelaza; tam ciężkie tarcice wzlatywały w górę przy pomocy windy parowej; nad pokojem przeznaczonym do maszyn, bujał się cylinder żelazny, prawdziwy pień metalowy; na przodzie wstępowały do góry drą-



gi uginające się wzdłuż masztów bocianiego gniazda, z tyłu stało rusztowanie, zapewne ukrywające jakąś zaczęta budowę. Budowano, wykończano, wykonywano robotę ciesielską, sztychowano, malowano, wśród największego nieporządku.

Moje bagaże były już przeniesione. Dowódca, kapitan Anderson, o którego się pytałem jeszcze nie przybył, lecz jeden z szafarzów podjął się mnie umieścić, i kazał zanieść moje kufry, do kajuty w tyle okrętu położonej.

— Mój przyjacielu — zapytałem go — na 20 marca, ogłoszono odpłynięcie „Great Easternu”, ależ nie podobna, aby wszystkie te przygotowania były wykończone w dwadzieścia cztery godzin. Nie wiesz pan, kiedy będziemy mogli opuścić Liverpool?

W tym względzie szafarz tyleż wiedział co i ja. Zostawiając mnie, odszedł. Wtedy postanowiłem zwiedzić wszystkie dziury tego ogromnego mrowiska, i rozpocząłem przechadzkę, jakby turysta w jakim obcym mu mieście. Na pokładzie parostatku, było błoto czarne, to błoto

brytańskie, które się przylepia do bruku miast angielskich. Cuchnące strumyki wiły się w rozmaite strony; zdawało mi się, że jestem na jednym z najgorszych placów Upper Thames street na brzegach portu Londyńskiego. Szedłem około tych pokojów które się ciągnęły w tyle okrętu. Między niemi i parapetami, z każdej strony, odznaczały się dwie szerokie ulice a raczej dwa bulwary, wypełnione ciągnącym się tłumem. I tak przyszedłem do samego środka statku, między budynkami, połączonemi podwójnym systemem mostków.

Rzuciwszy okiem na wykończane roboty, zwróciłem się na przód okrętu. Tam, tapiczerzy kończyli obicie, dosyć obszernego pokoju przeznaczonego pod nazwą *smoking room*, na pokój do palenia cygar, prawdziwa knajpa tego pływającego miasta, okazała kawiarnia oświetlona czternastoma oknami, z sufitem białym w złote cytryny rzeźbionym. Przeszedłszy małe miejsce trójkątne zakończające przód pokładu, szedłem do kawałka drzewa upadającego w powierzchnię wody.

Z tego punktu ostatecznego, spostrzegłem przez szparę we mgle, tył „Great Eastern” w odległości przeszło dwu hektometrów. Ten kolos zasługuje na to aby takimi cyframi oceniać jego rozmiary. Zaledwie dostrzedz mogłem szczyt masztów wysokich na dwieście stóp, ginących w mgle, z którymi mieszał się czarny dym z tendru i ze „składów węgla”. Wyszedłszy drzwiczkami maszyny kołowej, spostrzegłem mały hotel po lewej stronie; wreszcie długą boczną facyjatę pałacu z którego wystawał taras. Nakoniec dostałem się do tyłu parostatku do tego miejsca, gdzie się wznosiło rusztowanie, o którym już wspominałem. Tam między ostatniem i ogromnem oknem do przewietrzenia nad którym osadzone były cztery koła steru, mechanicy spieszyli się z umieszczeniem maszyny parowej. Machina ta składała się z dwu cylindrów poziomych i przedstawiała system kół zębatach, drągów i drążków, który wydał mi się bardzo skomplikowanym. Niezrozumiałem z początku ich celu, lecz zdawało

się że tu, jak i wszędzie, dużo brakowało do wykończenia przygotowań.

Więc po cóż to spóźnienie, po co tyle przewozów, na brzegu „Great Eastern” statku stosunkowo nowego? To właśnie objaśnić potrzeba w kilku słowach. Po dwudziestu przepływach między Angliją i Ameryką z których jeden był pamiętny wypadkami nadzwyczajnymi, eksploatacja „Great Easternu” chwilowo przerwała się. Ten ogromny statek, przeznaczony do przewożenia podróżnych, wydawał się niezdatnym do niczego; był uważany za dymisjonowanego przez podejrzliwe plemię pasażerów z tamtej strony oceanu. Kiedy pierwsze usiłowanie umieszczenia liny telegraficznej spełżyło na niczem — które to niepowodzenie zawdzięczać należało po części niedostateczności statków do przewożenia, — inżynierowie pomyśleli o „Great Eastern”. On jeden zabrać mógł te trzy tysiące czterysta kilometrów druta metalowego, wazących cztery tysiące pięćset beczek. On jeden to mógł, ze swoją siłą w walce z morzem, rozwinąć i zanurzyć tę nie-

zmierną linię. Lecz dla umieszczenia tej liny na bokach statku, potrzeba było zmian szczegółowych. Wysadzano dwa kotły na sześć a jeden komin na trzy, należące do maszyny szrubowej. Na ich miejsce urządzono obszerne recypien-  
sa dla umocowania liny, którąby kaskada wody ochraniała od zmian powietrza. Drut w ten sposób przechodzi z tych pływających jezior do morza, nie stykając się wcale z powietrzem atmosferycznym. Czynność założenia liny dokonała się pomyślnie a po otrzymaniu żądanego skutku „Great Eastern” na nowo pozostawiono w opuszczaniu. Właśnie przypadała Wystawa powszechna 1867. Powitała wtedy spółka francuzka, nazwana Stowarzyszeniem Wynajmujących „Great Eastern” z odpowiedzialnością ograniczoną, z kapitałem dwu milionów franków, w zamiarze użycia tego obszernego okrętu, do przewiezienia zaoceanowych amatorów. Stąd powstała konieczność zastosowania parostatku do tego użytku, uzupełnienia recypiensów, poprawienia kotłów a mianowicie powiększenia sal, które tysiące podróżnych



zamieszkać miało i wspanialszego urządzenia jadalnych pokojów; w końcu trzeba było przygotować trzy tysiące łóżek po bokach tej olbrzymiej kotliny.

„Great Eastern” został wynajęty za dwadzieścia pięć tysięcy franków miesięcznie.

Dwie umowy były zrobione z G. Forrester et com. z Liverpoolu: pierwsza za pięćset trzydzieści osiem tysięcy, siedemset pięćdziesiąt franków, dla wstawienia nowych kotłów śrubowanych; druga umowa za sześćset sześćdziesiąt dwa tysiące pięćset franków dla ogólnej naprawy i wprowadzenia w ruch statku. Rzucono się do dzieła. Przez pięć dni, ciągnęły się roboty, z żarliwą akuracnością. Opóźnienie szkodziło znacznie, przedsięwzięciu wynajmujących ale nie mogli na to nie poradzić przedsiębiorcy. Wyruszenie było oznaczone, nieodzownie na 26 marca. Jeszcze 25 pokład parostatku był założony rozmaitemi narzędziami dodatkowymi. Nakoniec tego ostatniego dnia wszystko było w pogotowiu. Wieczorem około piątej godziny, przybyła szalupa parowa. Przeznaczono

ją do „Great Eastern”. Jej lokomobila została z początku odjęta i wniesiona na pokład za pomocą windy. Ale co do samej szalupy, to niepodobna było z powodu jej ogromnego ciężaru wnieść na parostatek. Trzeba więc było obejść się bez niej i innego użyć sposobu. Tego wieczora, wszystko było prawie skończone. Bulwary wyczyszczone nie zostawiały śladów błota; użyto do tego całej armii zamiataczy. Ładunek był zupełnie skończony. Poszedłem spać z nadzieją jutrzejszego wyjazdu. I wtem się nie omyliłem. Z brzaskiem dnia 26 marca, zobaczyłem powiewającą przy maszcie z przodu, banderę amerykańską, przy wielkiem maszcie banderę francuzką, a wrogu tylnego masztu angielską.

### III

Rzeczywiście „Great Eastern” przygotowywał się do odpłynięcia... Z pięciu jego kominów już rozchodziły się kłęby czarnego dymu. Gorący ług, parował naprzeciwko głębokich studni,

które podawały wodę do machin. Kilku majtków nabiło cztery duże armaty; które miały pozdrowić Liverpool przy naszym przejściu. O godzinie jedenastej, tapicerzy wbili ostatni gwóźdź, malarze wykończyli ostatnie malowidło. Potem odpłynęli na małym statku, który na nich czekał. Ponieważ ciśnienie było dostateczne, parę puszczono w cylindry maszyny nadającej ruch statkowi i mechanicy uznali, że genialnie pomysłany przyrząd działał jak się należy.

Pogoda była dosyć ładna. Wielkie smugi słońca, przedzierały się poprzez raptownie rozbiegające się chmury. Wiatr był wielki na morzu i dał gwałtownie, na co „Great Eastern” był obojętnym. Wszyscy oficerowie już byli na miejscu i rozeszli się w różne strony statku, ażeby wyruszenie przyprowadzić do skutku. Sztab składał się z kapitana, kapitana drugiej klasy, dwu drugorzędnych oficerów, pięciu poruczników z których jeden M. H... był francuzem i z jednego ochotnika także francuza.

Kapitan Anderson jest to wielkiej sławy marynarz w handlu angielskim. Jemu to zawdzię-

czamy ustawienie liny transatlantyckiej. Co prawda, jeżeli mu się udało tam gdzie jego poprzednicy chybili, to przyczyną tego jest że działał w warunkach daleko korzystniejszych, mając „Great Eastern” do rozporządzenia. Bądź co bądź, tem powodzeniem zasłużył na tytuł „Sir” który mu królowa nadała. Był to komendant bardzo uprzejmy. Człowiek mający lat pięćdziesiąt, włosy płowo-blond, tego koloru blond co to utrzymuje swój odcień na złość wiekowi i porze, wysokiego wzrostu, twarz duża uśmiechnięta, fizyjonomija spokojna, postawa prawdziwie angielska, chód poważny i jednostajny, głos miły, oczy trochę biegające, nigdy nie trzyma rąk w kieszeniach, zawsze w rękawiczkach, wytwornie ubrany, z tym znakiem szczególnym, że wystawał mu koniec białej chusteczki z kieszeni surduta niebieskiego z potrójnym galonem złotym. Kapitan drugiej klasy, dziwnie się różnił od kapitana Andersona. Opiszę go łatwo. Człowiek to mały, żwawy, płeć mocno opalona, oko cokolwiek krwią nabiegłe, czarna broda sięgająca aż do pasa, nogi kabłąko-

wate, stawiające opór wszystkim kołysaniom niespodziewanym. Marynarz czynny, baczny, drobiazgowo dokładny, wydawał rozkazy głosem urywanym rozkazy które powtarzał nadzorca ładunku z tym rykiem lwa zakatarzonego, który jest właściwy marynarce angielskiej służby. Ten drugiej klasy kapitan nazywał się W... Zdaje się że to był oficer od floty, przez szczególne pozwolenie naznaczony do „Great Eastern”. Nakoniec miał ruchy „wilka morskiego” i zapewne był ze szkoły tego francuzkiego admirała — męża wypróbowanego we wszystkich poświęceniach — który w chwili walki, bezustannie wołał do swoich ludzi: „Dalej dzieci, nie cofajcie się, gdyż znacie mój zwyczaj wysadzania wszystkich w powietrze!”

Oprócz tego sztabu, maszyny były pod zarządem głównego inżyniera, przy pomocy ośmiu czy dziewięciu oficerów mechaników. Pod ich rozkazami pracował batalion z dwustu pięćdziesięciu ludzi złożony; palaczy, smarowników i t. p. którzy głąbości statku nigdy nie opuszczali.



Dzień i noc, ten batalijon był zajęty, żeby sto ognisk rozpalić przy dziesięciu kotłach, z których każdy miał po dziesięć kominów.

Wszyscy byli na swoich miejscach. Mały statek który miał „przeprowadzić” „Great Eastern” z ujścia Marsey był od wczoraj gotów. Spostrzegłem równie mały statek francuski, z wyspy Molere, około Ouessant, który miał zamiar przepłynąć z Liverpoolu do New Yorku, a zpowrotem wprowadzić parostatek do przystani Brest.

— Zaczynam wierzyć, że dziś odpłyniemy — rzekłem do porucznika H.

— Czekamy tylko na pasażerów — odpowiedział mój spółrodak.

— Czy są liczni?

— Tysiąc dwieście lub trzysta. Jestto ludność większego miasteczka.

Jak przekonałem się później, byli to Kalifornijczycy, Kanadejczycy, Yankeesi, Peruwijanie, Amerykanie południowi, Anglicy, Niemcy, i dwu czy trzech Francuzów. Między innymi odznaczyli się — sławny Cyrus Field

Z New Yorku; zacny Jan Rose z Kanady; szanowny Mac Alpine, z New Yorku; państwo Alfredowie Coher, z San Francisko; państwo Whitnej z Mont Béal; kapitan Mac Ph... z żoną. Pomiędzy francuzami znajdował się założyciel Stowarzyszenia Wynajmujących Great Eastern p. Juljusz D..., reprezentant owej Telegraph construction and maintenainu company która wniosła do interesu dwadzieścia tysięcy liwrów. Rozpoczęło się pomieszczenie bagaży i pasażerów, spokojnie a prędko, jakby to byli ludzie wchodzący do swoich mieszkań. Francuzom zdawało się, że powinni iść jak do szturmu, postępując jak prawdziwi żuawi.

Każdy z pasażerów, jak tylko stanął na pokładzie, poszedł do sali jadalnej, by obrać miejsce przy stole. Na kawałku papieru zapisawszy swe nazwisko lub zostawiwszy bilet, zapewniło się sobie jedzenie. Stoły były nakryte i wkrótce wszystkie, obsiedli współbiesiadnicy, którzy jeżeli są Anglo-Saksoni, umieją doskonale w podróży czas przepędzić przy pomocy widelca i noża.

Zostałem na pokładzie, aby się przypatrzeć wszystkim szczegółom wylądowania. O wpół do pierwszej bagaże zostały przeniesione. Wiedziałem w tym nieładzie, tysiące kufrów rozmaitego kształtu, różnej wielkości, skrzynie duże jak wagony, które mogły pomieścić wszystkie ruchomości, małe wytworne woreczki i owe walizy amerykańskie lub angielskie, tak odznaczające się kosztowną skórą, licznymi sprzączkami połyskującymi, blaskiem okuć miedzianych i t. p. Wszystkie te rupiecie wprędce znikły w magazynach. Tender ruszył, pokrywając kłębamii dymu, świąteczne płótno „Great Easternu”. Zwróciłem się na przód statku i niespodziewanie spostrzegłem tego młodego człowieka, którego wiedziałem na brzegu New Prince. Zobaczywszy mnie, stanął, wyciągnął rękę, ja ją uścisnąłem z czułością.

— Jesteś tu Fabianie? — zawołałem.

— Tak kochany przyjacielu.

— Więc się nie myliłem, więc ciebie to wiedziałem kilka dni temu na brzegach portu?

— Prawdopodobnie — odpowiedział Fabian — jednak ja ciebie nie spostrzegłem.

— I płyniesz do Ameryki?

— Oczywiście! Czy można lepiej spędzić czas kilka miesięcznego urlopu, jak przebiegając świat?

— Dla tej turystowskiej przejażdżki, szczęśliwym trafem zrobiłeś wybór z „Great Easternu”.

— To niewypadkiem, kochany przyjacielu; w jednym z dzienników czytałem, że masz popłynąć na „Great Eastern” a nie widząc cię od lat kilku, przyjechałem, aby odbyć z tobą razem tę podróż.

— Z Indyi przybywasz?

— Onegdaj wysiadłem z „Godawery” w Liverpoolu.

— Więc podróżujesz, Fabianie?... — pytam się patrząc na jego twarz bladą i smutną.

— Dla rozrywki, jeżeli ona dla mnie być może — ściskając mi rękę ze wzruszeniem, odpowiedział kapitan Fabian Mac Elwin.

## IV

Fabian oszedł dla umieszczenia się podług numeru swego biletu, w pokoju 73 w korytarza dużego salonu. W tej chwili, kłęby dymu wychodziły z szerokich kominów parostatku. Wrzenie kotłów słychać było, para z nich opadała drobnym deszczem na pokład. Poruszenia z hukiem połączone oznajmiały działania machin. Można już było odpłynąć. Trzeba było najprzód podnieść kotwicę. Fala wznosiła się jeszcze ciągle, parostatek skręcony jej pędem, zwrócił się do niej przodem. Wszystko było gotowe aby wypłynąć z rzeki. Kapitan Anderson powinien był skorzystać z chwili, i wyruszyć, gdyż długość parostatku nie dozwalała obrócić się w Massey. Nie płynąc z biegiem wody, lecz przeciwnie odbijając prąd fali, był pewniejszym kierowania swym olbrzymem, pomiędzy licznymi statkami na rzece. Najmniejsze dotknięcie tego kolosu byłoby straszne w swych skutkach.



W tych warunkach trzeba było sił wielkich dla podniesienia kotwicy. Parostatek popychany pędem, wyciągał łańcuchy, na których był przymocowany. Aby wyciągnąć kotwicę z ich zagłębienia, użyć musiano silnych narzędzi. Przymocowano do łańcuchów *anchor-boat* — rodzaj statku używanego do tej roboty, — lecz jego windy nie były dostateczne, więc wzięto przyrządy mechaniczne, które „Great Estern” miał na swój użytek. Do podniesienia kotwic użyto maszyny o sile siedemdziesięciu koni. Para z kotłów wpuszczona w cylindry, zastosowaną była do windy. Wszystko to atoli nie było wystarczające. Kapitan Anderson kazał przyrzędzić drągi i niemi pięćdziesięciu ludzi windę obracało.

Parostatek zaczął wchodzić na kotwicę. Robota jednak szła wolno; ogniwa łańcuchów chrzęszczały w otworach na przodzie okrętu; według mego zdania można było ulżyć pracę, okręcając parę razy koła, dla łatwiejszego ich zdjęcia. Byłem wówczas na pokładzie wraz z innymi pasa-

żerami. Przypatrywaliśmy się szczegółom działania i skutkom przyrządów.

Koło mnie, stał jakiś podróżny; wzruszał ramionami, zniecierpliwiony powolnością tych robót, nie szczędził bezustannych żartów z powodu bezskuteczności machin. Był to, mały chudy człowieczek, muskularny, z ruchami gorączkowemi; pod zmarszczkami powiek zaledwie widać mu było oczy. Fizyjonomista byłby od razu poznał, że koleje życia przedstawiały się zawsze ze strony śmiesznej dla tego filozofa ze szkoły Demokryta, nigdy u niego nie spoczywały muszkuły zygomatyczne, potrzebne do poruszeń śmiechu. Zresztą widziałem go później — miły towarzysz podróży.

— Panie — powiedział mi — myślałem dotąd, że maszyny są zrobione dla pomocy ludziom a nie ludzie dla pomocy machinom!

Właśnie miałem odpowiedzieć na tę słuszną uwagę, kiedy powstały krzyki! Ja i mówiący zostaliśmy naprzód popchnięci. Wszyscy ludzie rozstawieni przy sztabach leżeli przewróceni. Jedni się podnosili, inni na pokładzie spo-

czywali. Ponieważ jedno kółko maszyny złamało się, lina zboczyła pod strasznym naciskiem łańcuchów. Ludzie zaskoczeni z tyłu, zostali uderzeni z okropną gwałtownością w głowę lub piersi. Sztaby, oderwane od sznurów, naokoło kartacząc, zabiły majtków czterech, a pokaleczyły dwunastu. Pomiedzy temi ostatnimi, jednego Szkota z Dundee nadzorcę służby okrętowej.

Skoczono ku tym nieszczęśliwym. Rannych zaniesiono do miejsc dla chorych przeznaczonych. Co do czterech zabitych, miano ich na brzeg niezwłocznie przewieść. Zresztą, Anglo-Saksoni, są tak obojętni na życie ludzkie, że tan wypadek nie zrobił na nich szczególnego wrażenia. Ci nieszczęśliwi zabici i ranni, uderzeni byli tylko zębami koła maszyny które w krótkim czasie naprawić było można i bez wielkiego kosztu. Tender oddalony wrócił za danym znakiem. W kilka minut potem, przybył do statku. Poszedłem do coupée, pomost nie był jeszcze zdjęty. Zaniesiono na tender zabitych obwiniętych w kołdry. Jeden z doktorów,

popłynął z niemi do Liverpoolu, z zaleceniem spiesznego powrotu na „Great Eastern”. Tender odpłynął natychmiast a majtkowie poszli zmyć ślady krwi, pozostałe na pokładzie.

Muszę i to dodać, że jeden z pasażerów lekko uderzony, skorzystał ze sposobności i wrócił tenderem. Miał już dosyć „Great Easternu”.

Patrzyłem za oddalającym się z całą szybkością statkiem. Odwróciwszy się spostrzegłem za sobą towarzysza mego z wyrazem twarzy ironicznym, mrużącemu te słowa:

— Podróż dobrze się zaczyna!

— Fatalnie — odpowiedziałem. — Z kimże mam przyjemność mówić?

— Z doktorem Dean Pitferge.

## V

Podjęto robotę na nowo. Za pomocą *anchorbotu* ulżono łańcuchom i kotwice zostały wreszcie ze swego zagłębienia wyjęte. Z wieży Birkenhead, wybił kwadrans na drugą. Nie można już było zwlekać dłużej, jeżeli się chciało

skorzystać z przyływu morza. Kapitan i sternik weszli na statek. Jeden porucznik stanął przy przyrządzie śrubowym, drugi przy przyrządzie sygnałowym. Sternik stał między nimi przy małym kole do poruszania sterem. Na wypadek niedostateczności maszyny parowej, czterech innych sterników czuwało z tyłu przy kołach wielkich, znajdujących się koło okien do przewietrzania. „Great Eastern” był w przestrzeni swobodnej, i potrzeba było tylko odepchnąć falę dla wyjścia z rzeki. Dano znak do odjazdu. Koła uderzyły o powierzchnię wody, śruba odwinęła się w tył i ogromny okręt zaczął wyruszać. Większa część pasażerów wszedłszy na najwyższe piętro przyglądali się podwójnemu pejzażowi najeżonemu kominami który przedstawiał po stronie prawej Liverpool a po lewej — Birkenhead. Marsey zapchana statkami, z których jedne były na kotwicach, inne wylądowały lub odpływały, pozostawiał naszemu parostatkowi same tylko kręte przejścia. Lecz pod ręką żeglarza, czuły na najmniejszy kierunek steru, przesuwał się on w wązkich przej-

ściach, i obracał jak okręt do połowu wielorybów, pod silnem wiosłem sternika. Myślałem na chwilę, że uderzymy o statek handlowy, który płynął z biegiem wody, i o mało co się nie otarł o „Great Eastern”, ale uniknęliśmy uderzenia; a gdy potem spojrzałem, okręt ten, objętości siedmiu do ośmiu beczek, wydał mi się jak jedno z tych czółen które dzieci puszczają przy porcie Green Park, albo Serpentine Rivero. Wkrótce przepływał „Great Eastern” głębokość wylądowania przy Livrepoolu. Z tych czterech armat któremi miano salutować miastu, nie strzelano przez uszanowanie dla umarłych, których tender wysadzał w tej chwili na ląd. Zamiast wystrzałów, straszliwa burza zagrziała. Było to ostatnie wyrażenie grzeczności narodowej. A więc klaskano w dłonie, poruszano ramiona, chustkami powiewano z tem, uniesieniem, którym anglicy tak szafują na wyjazd każdego statku, chociażby to było czółno, mające odbyć przechadzkę w zatoce. Jakież bo odpowiadano na te pożegnania! Jakie echa sprowadzały one na wybrzeżach! Tysiące cieka-

wych pokrywało mury Liverpoolu i Birkenheadu. Małe statki, wypełnione widzami, mrowiły się na Marsey. Marynarze z „Lord Clyde”, statku wojennego; stojącego w przystani, powchodzili na drągi masztowe, witając olbrzymami swymi okrzykami. Ze szczytu najwyższego piętra statków, stojących na kotwicy w rzece, muzyka donosiła nam przestraszające harmonie, których nawet wszystkie okrzyki zagłuszyć nie mogły. Bandery wznoszono i spuszczano na cześć „Great Easternu”. Wkrótce atoli zaczęły się krzyki przyciszać i niknąć w oddali. Nasz parostatek przyplłynął blisko „Triopti”, pakiebotu z linii Cunard przeznaczonego do przewiezienia emigrantów, który pomimo swej objętości dwu tysięcy beczek, wydawał się zwyczajną barką. Później po obydwu brzegach coraz mniej widać było domów. Dymy zaczerpnąć pejzaż przestały. Wieś zakończyła się na murach z cegły. Jeszcze kilka długich i jednokowych rzędów domów rzemieślniczych. Na koniec wille się pokazały, i po lewej stronie rzeki Marsey, z platformy latarni morskiej i z oszań-

cowanego bastylonu kilka ostatnich okrzyków poraz ostatni nas powitało.

O godzinie trzeciej, „Great Eastern” przepłynął zakręty rzeki Marsey i wszedł w kanał Świętego Jerzego. Wiatr południowo zachodni dał gwałtownie. Nasze żagle wyciągnięte dobrze, nagiąć się nie dały. Morze wzdymało się kilku bałwanami, lecz nie czuł ich nasz parostatek.

Kapitan Anderson kazał się zatrzymać około godziny czwartej. Tender, aby nas dogonić, przypuszczał pary. Odwoził nam doktora. Kiedy łódka dopłynęła, rzucono drabinkę ze sznurów, po której nie bez trudności dostał się do nas lekarz. Zręczniejszy od niego nasz sternik też samą drogą spuścił się aż do swojej barki, która nań oczekiwała, każdy jej wioślarz był opatrzonej w pas do pływania. Wkrótce potem połączył się z ładnym dwumasztowcem, który nań oczekiwał z wyteżonemi żaglami.

Puszczono się natychmiast w drogę. Pod działaniem śruby i innych przyrządów szybkość



„Great Easternu” zwiększyła się. Pomimo wiatru, nie było kołysania. Wkrótce zmrok pokrył morze, a wyspa hrabstwa Walii zaznaczona wierzchołkiem, Hoty Head, znikła wreszcie w ciemnościach nocy.

## VI

Nazajurz, 29 marca „Great Eastern” płynął bokiem przy wybrzeżach Irlandzkich. Wybrałem sobie izdebkę na przodzie pierwszego rzędu z brzegu. Był to mały pokoik, dobrze oświetlony dwoma szerokimi okienkami. Długi rząd izb oddzielał go od pierwszego salonu na przodzie, w ten sposób, że nie było słychać rozmów ani stukotu fortepianów, których nie brakowało na statku. Była to niby chatka odosobiona na końcu przedmieścia. Umeblowanie jego składały kanapa, łóżko, i gotowalnia.

O siódmej z rana przeszedłszy przez dwie sale dostałem się na pokład. Kilku pasażerów już tam było. Wiatr dał wielki, kołysanie było jednak nieznaczne gdyż morze zasłonięte wy-

brzeżem dosyć spokojnie się zachowywało. Przyszedszy na najwyższe piętro do smoking-room, zobaczyłem tę długą przestrzeń wzgórza ładnie przedstawiającą się z profilu, z wieczną zielonością, która kazała nadać mu nazwę „szmaragdowego wybrzeża”.

Pomiędzy nami a wybrzeżem, morze przedstawiało się z odcieniem brudno zielonym jak blacha siarczanem miedzi nieregularnie poplamiona. Wiatr był jeszcze mroźny, mgły jak kurz tu i owdzie latały; mnóstwo statków chciało się podnieść z ziemi; parowce przechodziły wypływając dym czarny; „Great Eastern”, chociaż nie szedł jeszcze z wielką szybkością, wyprzedzał je bez trudności.

Wkrótce rozpoznaliśmy Queen’s Town, małą przystań do wypoczynku, przy której kręciła się mała rybacka flotylka. Tam towarzyskie statki płynące z Ameryki i z oceanu południowego, — statki parowe czy żaglowe, zaatlantyckie czy handlowe, — przejeżdżając zostawiają worek z depeszami. Umyślny posłaniec z pospiechem odnosi je do Dublina w kilka

godzin. Sam pakiebot, zawsze z gotowemi machinami, zawsze dymiący, prawdziwe wrzeciono na kołach, idące przeciwko falom, statek podróżny w inny sposób użyteczny niż „Gladiator” albo „Fille de l’air”, zabiera te listy i składa je w Liverpoolu, przepływając tę przestrzeń, z szybkością osiemnastu mil na godzinę. Depesze w ten sposób przesyłane zyskują jeden dzień nad najszybszemi zaatlantykami. Około dziewiątej, wyszedłem na pokład, gdzie spotkałem kapitana Mac Elwina. Towarzyszył mu jeden z jego przyjaciół, wysoki na sześć stóp, z brodą blond, z długimi wąsami które ginęły między faworytami, podług ostatniej mody odslaniając podbródek.

Ten wysoki mężczyzna przedstawiał typ oficera angielskiego, miał głowę do góry wzniesioną, spojrzenie śmiałe, łatwość i swobodę w ruchach, jednym słowem, wszystkie znamiona tej rzadkiej odwagi, którą nazwać można „odwagą bez gniewu”. Nie omyliłem się co do jego zawodu.

— Mój przyjaciel Archibald Corsicon — rzekł do mnie Fabian — jak ja kapitan 22 pułku armii Indyjskiej.

W ten sposób przedstawieni, kapitan Corsican i ja skłoniliśmy się sobie wzajemnie.

— Tak krótko widzieliśmy się wczoraj kochany Fabianie — rzekłem do kapitana Mac Elwin ściskając go za rękę. — Byliśmy właśnie w chwili odpłynięcia. Wiem tylko tyle że nie sam przypadek spowodował nasze spotkanie na przestrzeni „Great Easternu”. Wyznaję, że jeżeli w czemkolwiek wpłynąłem na postanowienie z twojej strony...

— Bez wątpienia, kochany towarzyszu — odpowiedział Fabian. — Kapitan Corsican i ja przybyliśmy do Liverpoolu z zamiarem, dostania się na brzeg „China” na linii Cunard, kiedy tymczasem dowiedzieliśmy się, że „Great Eastern” miał przebyć nową podróż z Anglii do Ameryki: zdarzyła się więc sposobność. Dowiedziałem się, że znajdujesz się u brzegu, była to dla mnie wielka radość. Nie widzieliśmy się już od trzech lat, od naszej pięknej podróży

do Państw Skandynawskich. Nie namyślałem się ani chwili i oto dla czego tender wysadził nas wczoraj przed tobą.

— Kochany Fabijanie — odrzekłem — sądzę, że ani kapitan Corsican ani ty nie będziecie żałowali swego postanowienia. Przebycie Atlantyku na tym wielkim statku, jest bardzo interesującym nawet dla was, chociaż nie wielkimi jesteście marynarzami. Warto to widzieć. Lecz mówimy o tobie. Twój ostatni list, pisany przed sześcioma tygodniami, miał pieczęć Bombajską. To mi dało do myślenia, że jesteś jeszcze w swoim pułku.

— Byliśmy tam przed trzema tygodniami — odrzekł Fabijan. — Prowadziliśmy tam to pół wojenne pół towarzyskie życie oficerów indyjskich, więcej czasu spędzając na polowaniach niż na wycieczkach przeciwko nieprzyjaciołom. Przedstawiam ci właśnie kapitana Archibalda jako wielkiego pogromcę tygrysów. Jest to postrach Jungtów. A chociaż jesteśmy kawalerami i bez rodziny, jednak wzięła nas chętka zostawić trochę w spokoju biednych krwio-

żerców półwyspu, i pojechać odetchnąć nieco powietrzem Europejskiem. Dostaliśmy pozwolenie na rok, i zaraz przez morze Czerwone, Suez przez Francją, przybyliśmy szybkością umyślnego do naszej starej Anglii.

— Nasza stara Anglija — odrzekł z uśmiechem kapina Corsican — nie jesteśmy już w niej, Fabijanie. Wprawdzie statek to angielski, co nas wiezie, lecz wynajęty przez towarzystwo francuskie, a ma nas zawieść do Ameryki. Trzy odmienne bandery powiewają nad naszymi głowami i dowodzą, że deptamy nogami ziemię francusko-angielsko-amerykańską.

— Mniejsza o to — odpowiedział Fabijan, na chwilę marszcząc czoło pod bolesnem wrażeniem — mniejsza o to, aby tylko dobrze przepędzić czas naszego urlopu! Potrzebujemy ruchu. To mi życie! Miło jest zapomnieć o przeszłości, a zabijać czas obecny nowemi rzeczami, które w około siebie napotykamy! W kilka dni będziemy w New Yorku, gdzie uściskam swoją siostrę i jej dzieci, których niewidziałem od kilku lat. Później zwiedzimy wielkie jezio-

ra, popłyniemy w dół Mississipi aż do Nowego Orleanu. Z Ameryki przeskoczmy do Afryki, gdzie lwy i słonie dały sobie rendez-vous na uczczenie przybycia kapitana Corsican, a ztamtąd powrócimy by narzucić Sypojom wolę metropolii!

Fabijan mówił to z prędkością nerwową, pierś jego wznosiła się westchnieniem. Widocznie miał jakąś przeciwność w swoim życiu, o czym nie wiedziałem, a nawet z jego listów nie mogłem nic przeczuć. Wydało mi się, że Archibald Corsican, wiedział o tych szczegółach. Okazywał on bardzo żywą przyjaźń Fabijanowi, młodszemu od siebie o lat kilka. Tak. Ten wysoki kapitan angielski, którego poświęcenie, przy sposobności mogło się posunąć, aż do heroizmu wydawał się starszym bratem Mac Elwina.

W tym czasie na pokładzie rozległa się trąbka i nasza rozmowa została przerwana. Jakiś puciołowaty steward zapowiadał na kwadrans naprzód, przekąskę (lunch) o w pół do pierwszej. Cztery razy dziennie z wielkiem zadowo-

leniem pasażerów, odzywał się ten ochryply rozek, o w pół do dziewiątej na śniadanie, o w pół do pierwszej na przekąskę, o czwartej na obiad, o w pół do ósmej na herbatę. W krótkim czasie bulwary opustoszały, a wszyscy współbiesiadnicy zasiedli niebawem obszerne stoły, gdzie udało mi się umieścić blisko Fabiana i kapitana Corsicana.

Cztery rzędy stołów było w sali jadalnej. Na nich szklanki, butelki, poustawiane na podstawkach, przedstawiały niewzruszoność i porządek doskonały. Parostatek żadnych poruszeń fali czuć nie dawał. Współbiesiadnicy, mężczyźni, kobiety i dzieci, mogli jeść bez obawy. Potrawy wybornie przyrządzone, krążyły na okół. Wielu stewardów pilnie usługiwało. Na żądanie każdego, wymienione na małej karcie *ad hoc*, dostarczali win, likierów, piwa angielskiego, te przedmioty szły na osobny rachunek. Pomędzy wszystkimi, mieszkańcy Kalifornii odznaczyli się zdolnością picia szampana. Była tam obok swego męża, dawnego celnika, praczka zbogacona praniem bielizny w San Franci-



ska, która piła wino Cliquot, butelkę po trzy dolary. Dwie czy trzy młode misses, wątle i błache, pożerały kawałki wołowiny z krwią. Drugie Mistress odpychające swym widokiem wypróżniały z małych kieliszków jaja na miękko. Inne kosztowały z widocznem zadowoleniem torty, rumbarbarum albo sefery na wety. Każdy działał z zapalem. Wydawało się, że jesteśmy w jakiejś restauracyi na bulwarach samego Paryża, nie zaś na Oceanie.

Przekąska się skończyła, pokład zaludnił się na nowo. Ludzie mijając się kłaniali się sobie, lub zbliżali do siebie jak spacerujący w Hyde Park. Dzieci biegały, bawiły się puszczając balony, popędzając kółka, jakby to robiły na piasku Tuileryjskiem. Większa część mężczyzn przechadzając się palili cygara. Damy siedząc na ławkach pracowały, czytały lub z sobą rozmawiały. Guwernantki i bony malców dozorowały. Kilku grubych opasłych amerykańów baryłów, huśtało się na krzesłach kołyszących się, oficerowie statków szli i wracali jedni odbywając swą kolej na pomostach i czuwając nad

kompasem, inni odpowiadając na zapytania, często śmieszne pasażerów. Słysząc było także przy uciszeniu się wiatru głos organu umieszczonego przy dużym maszcie tylnym, dźwięk dwu czy trzech fortepijanów Pleyela, które puściły się na nieznośne wyścigi w salonach dolnych.

Okolo godziny trzeciej powstały głośnie okrzyki. Pasażerowie zajęli najwyższe piętro. „Great Eastern” spotkał prawie ręką w rękę okręt pocztowy. Było „Opropontis” płynący do New Yorku, witał on olbrzymia morskiego przepływając, a ten wzajemnie oddawał powitanie.

O w pół do piątej widać było jeszcze ziemię na trzy mile od prawego brzegu. Zaledwie ją można było dojrzeć wśród pasm ulewy, która raptownie się puściła. Wkrótce światło się nam pokazało. Była to latarnia z Fasteszota umieszczona na pustej skale; noc się zrobiła, podczas której mieliśmy przepłynąć za przylądek C’Lear, ostatni punkt wybrzeży Irlandyi najbardziej naprzód wysunięty.

## VII

Z środy na czwartek nie dobrą noc mieliśmy. Moje łóżko poruszało się najokropniej tak, że na jego deskach musiałem się opierać łokciami i kolanami. Worki i walizy wysuwały i wsuwały się w moim pokoiku. Nieład niezwykły wypełniał sąsiedni salon, w którym dwieście czy trzysta skrzyń tymczasowo złożonych, toczyły się od jednej ściany do drugiej, potrącając z łoskotem ławki i stoły. Drzwi trzaskały, szklanki i butelki potrącały się w swem zawieszeniu ruchomem, naczynia stołowe spadały z kredensu na podłogę. Słyszałem także chrapania nieregularne szruby i uderzenia kół, które kolejno wychodząc na wierzchy uderzały powietrze swemi szprychami. Po tych wszystkich oznakach poznałem, że wiatr wzmógł się znacznie i że parostatek nie był już obojętnym na fale morskie, które go zabierały w poprzek.

Wstałem o siódmej rano, spędziwszy noc bezsennie. Uczepiłem się jedną ręką łóżka, a drugą byle jak się ubierałem. Bez oparcia nie był-

bym się utrzymał na nogach, stoczyłem też prawdziwą walkę z mojem paltotem aby go na siebie włożyć. Wyszedłem z mego pokoiku przez salon, rękami i nogami torując sobie drogę pomiędzy tą falą skrzyń. Wszedłem na schody na kolanach, jak wieśniak rzymski, wdrapujący się po schodach *Scala Sante* Poncyjusza Piłata i nakoniec dostałem się na pokład, gdzie silnie się uczepiłem haczyka.

Ziemi nie było widać zupełnie. Za przyładek C'Lear przez noc przepłynęliśmy. W koło nas roztaczał się obszerny obwód, zakreślony linią wody na sklepieniu niebieskiem. „Great Eastern” wzięty w poprzek bez pomocy żagla, kołysał się strasznie. Morze koloru siwego, wzdymało się wielkimi falami. Maszty jak długie końce cyrkla zakreślały w powietrzu liczne łuki. Kołysanie okrętu wzdłuż było nieznaczne, przyznaję, lecz kołysanie się z boku na bok było nieznośne. Niepodobna się było utrzymać na nogach. Oficer kolejny uczepiwszy się mostku, wyglądał jakby na huśtawce. Od haczyka do haczyka zaledwie dostałem się do buduaru

na prawym boku okrętu. Pokład był mokry od mgły i bardzo śliski. Przygotowywałem się już uczepić za sztachety mostka, gdy ciało jakieś padło mi pod nogi.

Było to ciało doktora Dean Pitferge. Podniósł się zaraz mój oryginał na kolana, i patrząc na mnie rzekł:

— Otóż to właśnie. Wielkość łuku, zakreślonego przez ściany „Great Easternu” wynosi czterdzieści stopni, dwadzieścia pod poziomem, a dwadzieścia nad poziomem.

— Doprawdy — zawołałem śmiejąc się — nie ze spostrzeżenia, tylko z położenia, w jakim one były zrobione.

— Tak jest — powtórzył doktor. — Podczas kołysania się szybkość ścian wynosi jeden metr, siedemset czterdzieści cztery milimetrów na sekundę. Okręt za atlantycki który jest o połowę węższy, w tem właśnie czasie przeważa się z jednego boku na drugi.

— A więc — odrzekłem — ponieważ „Great Eastern”, wraca tak prędko do położenia pro-

stopadłego, jest to skutkiem zbyt wielkiej nieruchomości.

— A tak, dla okrętu, lecz nie dla jego pasażerów — przerwał wesoło doktor Pitferge — gdyż oni jak pan widzisz, powracają do poziomu i to prędzej niżby chcieli.

Doktor zachwycony swą odpowiedzią, podniósł się, a potem wzajemnie się podpierając doszliśmy przecie do ławek na najwyższym piętrze w tyle okrętu urządzonych. Dean Pitferge wyszedł cało podrapawszy się tylko w kilku miejscach, winszowałem mu tego, bo mógł sobie głowę rozbić.

— O! na tem nie koniec! — odpowiedział — wkrótce mieć będziemy klęskę.

— My?

— Parostatek, a zatem, ja, my i wszyscy pasażerowie.

— Jeżeli pan mówisz bez żartów — zapytałem — dla czego wsiadłeś pan na okręt?

— Żeby zobaczyć co nastąpi, gdyż nie bardzo by mi się nie podobało nasze rozbicie! — odrzekł doktor, patrząc na mnie znacząco.

— Czy to po raz pierwszy płyniesz pan na „Great Easternie”?

— Nie. Odbyłem już kilka podróży... jako amator.

— Nie masz więc pan czego żałować!

— Ja też wcale nie żałuję, konstatuje tylko fakta, a oczekuję cierpliwie, godziny nieszczęścia.

Czy doktor żartował sobie ze mnie? Nie wiedziałem co myśleć. Wydawały mi się bardzo ironicznie jego małe oczy. Chciałem go się lepiej wypytać.

— Doktorze — mówię mu — niewiem na czym opierasz swoje złe przepowiednie, ale pozwól pan sobie przypomnieć, że „Great Eastern” już dwadzieścia razy przebył atlantyk i jego podróże były zadawalniające.

— Mniejsza z tem! — odrzekł Pitferge.

Ten okręt został „zaczarowany” używając wyrażenia upowszechnionego między ludem. On nie ujdzie swego przeznaczenia. Wiedzą o tem i nie mają w nim zaufania. Przypomnij pan sobie, ile trudności inżynierowie doznali, aby go

zepchnąć. Nie chciał się dalej posunąć, tak samo jak szpital w Greenwich. Sądzę nawet, że Brunnel, który go budował, umarł „ze skutków operacyi”, jak my się wyrażamy po lekarsku.

— Ah! doktorze — odrzekłem — to jesteś pan chyba materyjalistą?

— Skądże to pytanie?

— Gdyż uważałem, że wiele osób nie wierzących w Boga, wierzą zresztą we wszystko, nawet w złe oko.

— Żartuj pan — odpowiedział doktor — lecz pozwólże mi dalej ciągnąć moje dowodzenie.

„Great Eastern” zrujnował już kilka spółek handlowych. Zbudowany dla przewożenia emigrantów i handlu towarami w Australii, nigdy nie był w Australii. Obrachowany dla nadania szybkości większej, niż mają statki za oceanem, nie dorównał im wcale.

— Z tego — rzekłem — można wnosić!...

— Czeka pan — odrzekł doktor. — Już utonął jeden z kapitanów „Great Easternu”, a był to jeden z najzdolniejszych gdyż trzymając go



prawie na wprost fal, umiał uniknąć tego nieznośnego kołysania z boku na bok.

— A więc! trzeba żałować straty tego zdolnego człowieka i nic więcej.

— Potem — odparł Dean Pitferge, nie zważając na moje niedowiarstwo — opowiadają różne historyje o tym parostatku. Mówią, że jednego z pasażerów, co zbłądził w jego głębokościach, jak pijonier w lasach Ameryki, nie można było nigdy wynaleść.

— Ach! — powiedziałem ironicznie — otóż i dowód!

— Opowiadają także — znów przerwał doktor — że przy urządzeniu kotłów, jeden mechanik został wepchniętym, przez nieostrożność w skrzynkę z parą.

— Brawo! — wykrzyknąłem — Mechanik wepchnięty! *E ben trovato*. I ty wierzysz temu doktorze!

— Wierzę — odpowiedział mi Pitferge — wierzę na prawdę, że nasza podróż źle się zaczęła i źle się skończy.

— Wszak „Great Eastern”, jestto okręt trwa-  
ły — odrzekłem — zrobiony z całą ścisłością  
sztuki budowniczej, co mu pozwala opierać się  
falom jak gdyby był pniem pełnym i wyzywać  
spokojnie morze najbardziej wzburzone!

— Zapewne jest on trwały — odparł dok-  
tór — ale niech no wpadnie we wklęsłość fal  
morskich, a zobaczysz pan czy się podniesie.  
Jestto to olbrzym, dajmy na to, lecz olbrzym,  
którego siła nie jest proporcjonalna do jego  
budowy. Machiny są za słabe dla niego. Sły-  
szałeś pan o jego podróży dziewiętnastej z Li-  
verpoolu do New Yorku?

— Nie słyszałem.

— Otóż ja byłem na niem. Wyjechaliśmy  
z Liverpoolu 10 grudnia we wtorek. Pasażerów  
było dużo, wszyscy przejęci byli największą uf-  
nością. Wszystko szło dobrze, dopóki byliśmy  
zabezpieczeni od fal przyładkiem Irlandzkim.  
Nie było ani kołysań ani chorych. Drugiego  
dnia ta sama obojętność na morze, ta sama  
niewypowiedziana radość pasażerów. Nad ra-  
nem 12, wiatr zaczął dąć porządnie. Bałwany

od strony morza wzięły nas w poprzek: „Great Eastern” zaczął się kołysać. Pasażerowie, mężczyźni i kobiety schowali się do swoich pokoi. O godzinie czwartej wiatr dał burzliwie. Meble zaczęły tańczyć. Uderzeniem głowy unizonego sługi pańskiego, stłukło się jedno z lusterek dużego salonu. Rozbijają się wszystkie naczynia stołowe. Hałas straszny! Osiem szalup, urwało się ze swoich haków przez jedno uderzenie morza. W tej chwili położenie zaczęło być niebezpieczne. Machina kołowa musiała być wstrzymana. Zagroził wpadnięciem narzędzia w maszyny, ogromny kawał ołowiu oderwany przez kołysanie. Tymczasem szruba nie przestawała popychać nas naprzód. Wkrótce koła nabierają znowu pół prędkości, lecz jedno z nich, w czasie wstrzymania, wyszło z linii prostej, a jego sprychy i pale skrobnęły po pudle statku. Trzeba było na nowo zatrzymać maszynę i zadowolnić się szrubą dla utrzymania przodu okrętu. Noc była okropna. Burza się wzmogła. „Great Eastern” wpadł w zagłębienia fal morskich i nie mógł się z nich wydobyć.

Z brzaskiem dnia nie było ani jednego okucia na kołach. Rozwinięto kilka żagli dla nadania obrotu statkowi i postawienia go prosto na morzu. Żagle zaledwo rozciągnięte zaraz zostały porwane. Zamięszanie panuje wszędzie. Łańcuchy wyrwane, toczą się z jednego boku okrętu na drugi. W jednym ogrodzeniu dla bydła dno się zapadło, i krowa wleciała do salonu damskiego, w poprzek drzwiczek na pomoście okrętu do schodzenia na dół. Nowe nieszczęście! część śrubowa rudła pęka. Nie mają czym sterować. Uderzenia zastraszające dają się słyszeć. To rezerwoar od oliwy, ważący trzy tysiące kilogramów którego spojenia popękały, zamiatając przedział między dwoma pomostami, uderza naprzemian o boki wewnętrzne, które się mogą zapaść! Sobota przechodzi wśród ogólnego przestachu. Byliśmy jeszcze ciągle w zagłębieniach fal. W niedzielę dopiero wiatr zaczyna ustawać. Jeden inżynier amerykański, pasażer okrętu, potrafił przyczepić łańcuchy do rudła. Po mału zaczęto robić obroty. Wielki „Great Eastern” powraca do prostej po-

zycy na morzu, w osiem dni po opuszczeniu Liverpoolu, przyплыliśmy do Osseenstownu. Otóż kto wie panie, gdzie będziemy za osiem dni.

## VIII

Trzeba przyznać, że doktor Dean Pitferge nie dodawał otuchy. Pasażerowie nie byliby go słuchali bez drzenia. Czy też on żartował, czy mówił poważnie? Czy to prawda, że on był na „Great Eastern” podczas wszystkich jego podróży, a żeby mieć udział w jakiejś katastrofie? Lecz wszystko jest podobne dla takiego dziwaka, zwłaszcza dla Anglika.

Tymczasem parostatek ciągnął dalej swój bieg, tocząc się jak łódź. Zachował niewzruszenie linię loksodromiczną statków parowych. Wiadomo, że na powierzchni płaskiej najkrótszą drogą z jednego miejsca do drugiego jest linia prosta. Na kuli linia krzywa utworzona przez wielkie łuki. Okręty dla skrócenia podróży, muszą z konieczności, trzymać się tej drogi.

Lecz statki żaglowe, nie mogą płynąć tą linią, jeżeli są wprost wiatru. Jedne tylko parowce są w stanie trzymać się ciągle kierunku ściśle oznaczonego, one też przybierają drogę wielkich łuków. I tak zrobił „Great Eastern” podnosząc się trochę ku północo-zachodowi.

Kołysanie nie ustawało. Ta szkaradna choroba morska, od razu udzielająca się i epidemiczna, robiła gwałtowne postępy. Niektórzy pasażerowie, wynędzniali, bladzi, z nosem cienkim, policzkami wklęsłymi, skroniami ściśniętymi, mieszkali prawie na pokładzie, dla wciągania do płuc świeżego powietrza. Po większej części wściekli byli na ten nieszczęśliwy parostatek który wyglądał na prawdę jak wiązka pływająca dla wskazówki, gdzie zarzucono kotwicę i złościli się na stowarzyszenie, którego prospekty ogłaszały, że choroby morskiej „nie ma na tym okręcie”.

Okolo godziny 9-tej, z lewego boku tylnej części okrętu dano znać o jakimś przedmiocie oddalonym o 3 czy 4 mile.

Czy to był szkielet wieloryba, czy rozbity okręt? nie można jeszcze było rozpoznać! Grono pasażerów zdrowych zebrało się by patrzeć, na te szczątki pływające o trzysta mil od najbliższego brzegu.

Tymczasem „Great Eastern” posuwał się ku przedmiotowi zapowiedzianemu. Lornety wszystkie tamże się zwróciły. Zdania o tem były bardzo podzielone, a wśród amerykańców i angiłków, dla których kaźden pozór do zakładow jest dobry, stawki zaczęły iść w górę. Pomiędzy tymi ludźmi szalenie lubiącymi zakłady, zwróciłem uwagę na człowieka wysokiego wzrostu, którego rysy twarzy uderzyły mnie, z powodu oznak niedwuznacznych, głębokiej nieszczeroci. Indywiduum to miało jakieś uczucie nienawiści ogólnej, wystereotypowane na swej twarzy, na którym nie pomylili by się nigdy ani fizyjonomiści ani fizyologowie; czoło sfałdowane zmarszczką prostopadłą, wzrok zuchwały zarazem i nieuważny, oko suche, brwi jedna przy drugiej, ramiona wysokie, głowa do góry, nakoniec wszystkie oznaki niezwykłej bezczel-

ności, połączonej z rzadkiem oszukaństwem. Kto był ten człowiek? nie wiedziałem, lecz nie podobał mi się nadzwyczajnie... Mówił głośno i tym tonem, co to zdaje się rzucać obelgi. Kilku służalców, godnych jego, śmiało się z grubijańskich jego żartów. Osobistość ta utrzymywała, że rozpoznaje wdali szkielet wieloryba i twierdzenie swoje podtrzymywała znacznymi zakładami, na co natychmiast nie zabrakło amatorów.

Zakłady te, które się podniosły do sumy kilkuset dolarów, przegrał wszystkie. W istocie było to pudło rozbitego statku. Parostatek przybliżył się do niego szybko. Można już było poznać miedź zielono-szarą na jego zewnętrznym spodzie. Był to statek trzy masztowy, z popsutemi masztami leżący na boku. Zapewnie miał miarę pięciu do sześciu set beczek. Czy opuściła go służba okrętowa? było to pytanie, czyli używając wyrażenia angielskiego *great attraction* tej chwili. Jednak nie było widać nikogo na tym pudle. Może rozbitek schronili się wewnątrz? Przez lunetę widziałem



od niejakiego czasu, przedmiot poruszający się na przodzie tego statku, lecz wkrótce przekonałem się, że to była resztką trójkątnego żaglu, którą wiatr powiewał.

Z odległości pół milowej, wszystkie szczegóły tego pudła zaczęły być widoczne. Było ono nowe i zachowane w bardzo dobrym stanie. Jego ładunek, który się stoczył pod naciskiem wiatru, zniewolił go do pochylenia się na bok. Oczywiście ten statek zaskoczony w chwili krytycznej, musiał poświęcić swe maszty.

„Great Eastern” przysunął się do niego. Opłynął w okóło. Dawał znaki swej obecności licznymi gwizdaniem. Powietrze się od nich rozdzierało. A na tym rozbitym statku panowała cisza głucha i nieożywiona. Na całej przestrzeni morza zakreślonej horyzontem, nic nie było widać. Ani jednej szalupy przy boku tego rozbitka.

Służba okrętowa miała czas do ucieczki. Ale czy mogła się dostać na ląd, odległy o trzysta mil? Wątpliwości czy mogły się oprzeć falom morskim, które tak przerażająco podrzy-

cały „Great Eastern”. Z resztą w jakim czasie mogła się stać to katastrofa? Z powodu wiatrów panujących czy nie wypadało też szukać dalej na zachodzie, miejsca tego rozbicia? Wszystkie te pytania musiały zostać bez odpowiedzi.

Kiedy parostatek płynął z tyłu rozbitego statku, przeczytałem wyraźnie na jego tablicy nazwisko „Lérida”; lecz znaku portu do którego należał, wcale nie było. Z jego układu, z jego kształtów wysokich, z wysmukłości szczególnej, sztuki drzewa na przodzie okrętu, majtkowie z naszego parostatku wnioskowali, że był budowy amerykańskiej.

Statek handlowy, okręt wojenny pewnie by się nie wahał, zabrać to pudło, które musiało w sobie zawierać drogie towary. Wiadomo, że w wypadkach, ocalenia szczątków rozbitego statku, prawa morskie, przeznaczają wybawcom trzecią część wartości. Ale „Great Eastern”, obowiązany do służby regularnej, nie mógł wziąć tego szczątku aby go wlec za sobą tysiące mil. Wracać się nazad, aby go zaprowadzić do najbliższego portu, było także niepodobieństwem.

Trzeba więc było zostawić go z wielkim żalem majątków; wkrótce też ten rozbitek został tylko małym punktem w przestrzeni, niknącym na horyzoncie. Grono pasażerów rozeszło się. Jedni poszli do swoich salonów, inni do pokoiów, trąbka na drugie śniadanie nie zdołała zbudzić wszystkich tych śpiących obezwładnionych chorobą morską.

Okolo dwunastej kazał kapitan Anderson umieścić dwa maszty przednie i jeden najmniejszy tylny. Okręt lepiej oparty mniej się kołysał. Majtkowie próbowali także ustawić statek mały przykręcony do parostatku podług nowego systemu. Ale system był „zanowy” zapewne, gdyż nie mogli go użytkować i ten mały statek w całej podróży nie był użytecznym.

## IX

Pomimo nieregularnych poruszeń okrętu, życie na nim zaczęło się organizować. Dla Anglo-Saksona nic nadto prostszego. Ten pakiebot — to jego cyrkuł, jego ulica i dom cią-

gle się przenoszące, i zawsze jest on u siebie. Francuz przeciwnie ma zawsze powierzchowność podróżnego — kiedy podróżuje.

Jak tylko pogoda sprzyjała, mnóstwo osób było na bulwarach. Wszyscy ci spacerujący, co utrzymywali równowagę, pomimo pochylania się okrętu, mieli minę ludzi pijanych, u których pijaństwo sprawiło w jednej chwili jednakowe skutki. Kiedy pasażerki nie wychodziły na pokład, to siedziały w swoim osobnym pokoju; albo w dużym salonie. Słysząc było wtenczas hałaśliwe tony fortepianów. Trzeba powiedzieć, że te instrumenta „bardzo kołyszące się” podobnie jak morze, nie dozwoliłyby talentowi nawet Liszta grać bez mieszanki. Basu brakowało, kiedy okręt się przechylał na lewy bok, a wysokiego tonu kiedy na prawy bok się skłonił. Stąd powstawały dziury w harmonii, albo próżnie w melodyi, na co nic nie uważały te uszy saksońskie. Między temi wszystkimi wirtuozkami, zauważyłem kobietę wysoką, kościstą, która musiała się dobrze znać na muzyce! W istocie dla ułatwienia sobie

czytania jakiegoś kawałka pooznaczała jednym numerem wszystkie nuty, a wszystkie klawisze fortepianu numerem odpowiednim. Jeżeli nuta była oznaczoną przez dwadzieścia siedm uderzała klawisz dwadzieścia siedm razy. Jeżeli była nuta pięćdziesiąt trzecia, uderzała pięćdziesiąt trzy razy. I to nie troszcząc się o hałas, panujący w koło niej, ani o inne fortepijany brzmiące z sąsiednich salonów, ani o źle wychowane dzieci, które uderzały pięścią w klawisze nie zajęte!

W czasie tego koncertu obecni brali bez namysłu książki rozrzucone tu i tam po stołach. Jeżeli kto znalazł jakiś ustęp ciekawy odczytywał go głośno, a jego słuchacze z uprzejmością słuchając, dziękowali mu pochlebny szmerem. Kilka dzienników poniewierało się po kanapach, były to owe dzienniki angielskie albo amerykańskie, które mają zawsze pozór starych, chociażby jeszcze porozcinane nie były. Jest to robota niewygodna, rozwijać te okropne arkusze, któreby pokryły powierzchnią kilku metrów kwadratowych. Ale że zwyczajem

jest nie rościnać ich, są więc nierościęte. Jednego dnia miałem cierpliwość przeczytać w tych warunkach „New York Herald” i przeczytać go do samego końca. Ale niech każdy osądzi, czy byłem wynagrodzony za moje trudy, wertując tę plątaninę, kiedy pod rubryką „*personal*” wyczytałem: Pan X... prosi ładnej Miss Z..., którą spotkał wczoraj w omnibusie z dwudziestej piątej ulicy, żeby przyszła jutro do niego pod 17 numer w Hotelu świętego Mikołaja. Życzyłby sobie pomówić z nią w kwestyi małżeństwa. Co zrobiła ładna Miss Z...? Nie chcę nawet o tem wiedzieć.

Całe to poobiedzie przesiedziałem w dużym salonie, obserwując i rozmawiając. Rozmowa była dosyć zajmująca, gdyż mój znajomy Dean Pitferge siedział koło mnie.

— Jakże się pan ma po wczorajszym upadku? — zapytałem go.

— Doskonale — odrzekł mi. — Ale to nie chodzi.

— Kto nie chodzi? Pan?

— Nie, nasz parostatek. Kotły szrubów źle działają. Nie możemy otrzymać dostatecznego ciśnienia.

— Czy spieszysz się pan do New Yorku?

— Bynajmniej! Mówię to jako mechanik i nic więcej. Bardzo mi tu dobrze i szczerzeby mi żal było opuścić tę kolekcję oryginałów, którą traf zgromadził na okręcie dla mej przyjemności.

— Oryginałów! — zawołałem, patrząc na pasażerów napływających do salonu. — Ależ wszyscy ci ludzie są do siebie podobni!

— A! widać, że ich pan zupełnie nie znasz — odpowiedział doktor. — Gatunek jest ten sam — to prawda, lecz w tym gatunku ileż odmian. Uważaj pan tam, to grono mężczyzn, pozwalających sobie nogi na dywan wyciągać, a kapelusze wtłaczać na głowę. Są to Yankeesi, z małych stanów Maine, Vermont albo Connecticut, przedstawiciele nowej Anglii, ludzie sprytni i czynni, trochę za nadto ulegli przewielebnym, ale mający tę wadę, że nie zasłaniają ręką ust, kiedy kichają. Ach! kochany panie,

są to prawdziwi Saksoni, charaktery goniące za zyskiem i korzyścią tylko. Zamknij pan dwu Yankeeów w jednym pokoju, a w przeciągu godziny, każdy z nich zarobi dziesięć dolarów od drugiego!

— Nie będę się pana pytał, w jaki to sposób — śmiejąc się odrzekłem doktorowi — ale pomiędzy nimi widzę jakiegoś małego z nosem zadartym, prawdziwą chorągiewkę. Ubrany jest w długi surdut i czarne spodnie trochę przykrótkie. Kto to jest ten Pan?

— To pastor ewangelicki, człowiek znakomity z Massachussets. Jedzie za żoną, była ochmistrzynią, bardzo korzystnie wciągniętą w jakąś sławną sprawę.

— A ten drugi wysoki i ponury, który wydaje się zatopiony w swoich wyrachowaniach?

— Ten człowiek rachuje rzeczywiście — powiedział doktor. — On zawsze i ciągle ob rachowuje.

— Zagadnienia?

— Nie, swój majątek. Jest to znakomity człowiek. O każdej godzinie wie, ile posiada,



prawie do centyma. Jest on majątny. Jeden cyrkuł New Yorku jest zbudowany na jego gruntach. Przed kwadransiem miał milion sześćset dwadzieścia pięć tysięcy, trzysta sześćdziesiąt siedem dolarów i pół; w tej chwili ma tylko milion sześćset dwadzieścia pięć tysięcy trzysta sześćdziesiąt siedem dolarów i ćwierć.

— Skądżeż ta różnica w jego majątku?

— Stąd, że dopiero co wypalił cygaro za trzydzieści soldów.

Doktór Dean Pitferge miał odpowiedzi zawsze tak niespodziewane, że wypytywałem go się bez końca. Bawił mnie. Wskazałem mu inne grono, umieszczone w innej części salonu.

— Tamci — odpowiedział mi — to są ludzie z *Far West*. Ten najwyższy, podobny do najstarszego kancelisty, jestto *znakomity* człowiek, naczelnik Banku w Chicago, zawsze ma pod ręką album przedstawiający główne widoki jego ulubionego miasta. Pyszni się niem i ma słuszość — miasto zbudowane roku 1836 w pustyni, a dziś ma czterysta tysięcy dusz, licząc w to i swoją! Blisko niego widzisz tam

kalifornijską parę. Młoda żona jest delikatna i zachwycająca. Mąż bardzo oskrobany, jest to dawny chłopak od pługa, który niegdyś kopał pepity. Ta osobistość...

— Jest to *znakomity* człowiek — dodałem.

— Zapewnie — rzekł doktor — gdyż jego aktywa liczą się na miliony.

— A to indywiduum ogromne, które rusza ciągle głową z góry na dół, jak murzyn w zegarze?

— Ta osobistość — odpowiedział doktor — to sławny Cokburn z Rochester, statystyk uniwersalny, który wszystko zważył, wszystko zmierzył, wszystko podzielił na dozy, wszystko zrachował. Zapytaj się pan tego nieszkodliwego manijaka! On panu powie, ile człowiek pięćdziesięcioletni zjadł chleba w ciągu swego życia, i ile metrów sześciennych powietrza spożył oddychając. On powie, ile tomów w ćwiartce wypełniłyby słowa adwokata z Temple Bar, i ile mil dziennie robi faktor, roznoszący tylko same listy miłosne. On panu powie ile wdów przez godzinę przechodzi przez most w Lon-

dynie i jaka by była wysokość piramidy zbudowanej z ostryg zjedzonych. On panu powie...

Doktór będący w pewnym biegu swych obserwacji, byłby dłużej ciągnął w ten sposób, lecz inni pasażerowie przechodzili szeregami przed naszymi oczyma i wywoływali nowe spostrzeżenia u niewyczerpanego doktora. Co za typy przeróżne w tym tłoku pasażerów! Jednak nie było tam ani jednego próżniaka, gdyż nie przepływa się z jednego lądu na drugi bez ważnego powodu. Większa część pasażerów płynęła zapewne po fortunę na ziemię amerykańską, zapominając, że dwadzieścia lat mając Yankees już ustalił swoje stanowisko, i w dwudziestym piątym będzie za stary aby wystąpić do walki. Pomiędzy temi miłośnikami niebezpieczeństw, wynalazcami temi goniącymi za powodzeniem, Dean Pitferge pokazał mi kilku dosyć zajmujących. Ten oto, uczony chemik współzawodnik doktora Liebiga utrzymywał, że wynalazł sposób zgęszczania wszystkich pierwiastków pożywnych z wołu w tabliczce mięsa wielkości sztuki pięcio frankowej, i jechał

zbijać majątek na przeżuwających zwierzętach w Pampasach. Tamten znów wynalazca motoru kieszonkowego, konia parowego w pudełku od zegarka, — biegł z użytkować swój patent w Nowej Anglii. Inny znów Francuz z ulicy Chapon, wiozł trzydzieści tysięcy lalek z tektury które wymawiały „tata” z akcentem amerykańskim dobrze naśladowanym i nie wątpił, że się z pewnością z bogaci. A nie licząc nawet tych oryginałów, ileż to innych jeszcze, których sekretów nie można było dopatrzeć! Może pomiędzy nimi jakiś kasyjer uciekał od próżnej kassy, a jakiś *detective* tu robiąc się jego przyjacielem czekał tylko przybycia „Great Eastern” do New Yorku aby go ręką za kołnierz pochwycić? Może także poznanoby w tej massie niektórych puszczających się na interesa przemycane, którzy zawsze znajdują akcjonaryjuszów łatwowiernych, chociażby się ten interes nazywał: „współką oceaniczną dla oświecenia gazem Polinezyi” albo „stowarzyszeniem ogólnem węgla nieulegających spalaniu”.

W tym czasie atoli, moje spostrzeżenia były przerwane wejściem młodego małżeństwa, które jak się zdawało, było pod wrażeniem zawczesnego znudzenia.

— To są Peruwijanie, mój kochany panie — mówił mi doktor — para ożeniona dopiero od roku, która przepędziła swój miodowy miesiąc na wszystkich horyzontach świata. Wyjechali z Lima wieczorem po weselu. Uwielbiali się w Japonii, kochali w Australji, znosili się we Francyi, kłócili w Anglii, a rozłączą się zapewne w Ameryce!

— A kto to taki — zapytałem — ten wysoki mężczyzna, postawy wyniosłej, co wchodzi w tej chwili. Sądząc z czarnych wąsów, możnaby go wziąć za oficera.

— To Mormon — odrzekł doktor. — *Elder*, p. Hatch, jeden z wielkich kaznodziejów Miasta Świętych. Jaki piękny typ mężczyzny! Przypatrz się pan temu oku dumnemu, tej powierzchowności, z której promienieje godność, jego postawie tak odróżniającej się od postawy

Yankesa. P. Hatch wraca z Niemiec i z Anglii, gdzie głosił mormonizm z powodzeniem, gdyż sekta ta liczy w Europie wielką liczbę stronników, którym pozwala zastosowywać się do praw ich kraju.

— Rzeczywiście — rzekłem — sądzę, że w Europie wielożeństwo jest im wzbronione.

— Zapewnie, kochany panie, lecz nie myśl, że wielożeństwo jest obowiązujące dla Mormonów. Brigham Young posiada harem, gdyż jemu to wypada; lecz wszyscy zwolennicy nie naśladują go na brzegach jeziora Słonego.

— Doprawdy! A p. Hatch?

— P. Hatch ma tylko jedną żonę, i uważa to za dostateczne. Zresztą, zamyśla nam objaśnić swój system, któregokolwiek wieczora w osobnym odczycie.

— Sala będzie zapelniona — wtrąciłem.

— Tak — odpowiedział Pitferge — jeżeli gra nie zabierze mu zbyt wielu słuchaczy. Pan wiesz, że tu grają w kajucie na przodzie okrętu. Jest tam pewien Anglik twarzy brzydkiej i odrażającej: on to zdaje się przewodzi w gro-

nie tych graczków. Jest to zły człowiek, opinii szkaradnej. Czy go Pan zauważyłeś?

Niektóre szczegóły, dodane przez doktora, dały mi poznać to indywiduum, które tego samego poranku, odznaczało się swemi bezzasadnemi zakładami, co do owych szczątków, pływających na morzu.

Mój sposób poznawania ludzi nie omylił mnie. Dean Pitferge powiedział, że on się nazywa Harry Drake. Był to syn przemysłowca z Kalkutty, gracz, birbant, lubiący się pojedynkować prawie zrujnowany; jechał on prawdopodobnie do Ameryki, spróbować życia awanturniczego.

— Tacy ludzie — dodał Doktor — znajdują zawsze pochlebców, którzy ich pod niebiosą wynoszą; i ten już ma swoje kółko łotrów a on jest w nim punktem środkowym. Pomiędzy nimi spostrzegłem małego człowieka kusego, twarzy okrągłej, z nosem spłaszczonym, z wargami grubemi, w okularach złotych. Musi to być żyd niemiecki. Mianuje się doktorem

jadącym do Quebec, ale ja uważam go za nędznego filuta i wielbiciela Draka.

Dean Pitferge, który przechodził z łatwością z jednego przedmiotu na drugi, teraz trącił mnie łokciem. Spojrzałem na drzwi sali. Weszli pod rękę młody człowiek dwadzieścia dwa lat mający i panna siedemnastoletnia.

— Czy to młode małżeństwo? — spytałem.

— Nie — odpowiedział doktor głosem napół wzruszonym — to dwoje dawno zaręczonych, oczekujących tylko przybycia do Nowego Yorku, aby się pobrać. Wracają z podróży po Europie, — rozumie się z upoważnienia rodziny, — a teraz już wiedzą, że są dla siebie stworzeni. Ładna młoda para. Z przyjemnością patrzę się na nich! Często ich widuję nachylonych nad drzwiczkami maszyny: stamtąd rachują obracania się kół, które według nich za wolno się poruszają! Ah! panie jeżeliby nasze kotły były tak rozpalone do białości, jak serca tych dwojga młodych ludzi, toby to nam podniosło ciśnienie!



## X

Tego samego dnia o w pół do pierwszej na drzwiach dużego salonu, sternik przyklepił obwieszczenie następujące:

Szer.  $51^{\circ} 15'$  P.

Dłu.  $18^{\circ} 13'$  Z.

Odl: Fastenet, 323 mil.

Co znaczyło, że w południe, byliśmy o 323 mil od latarni w Fastenet, ostatniej jaka się nam pokazała na wybrzeżach Irlandyi, i na  $51^{\circ} 15'$  szerokości północnej, a  $18^{\circ} 13'$  długości na zachód od południa w Greenwich. Był to punkt, w którym się statek znajdował. Kapitan w ten sposób dawał poznać, jego położenie; co dzień pasażerowie czytali o niem w tem samym miejscu. Tak więc radząc się tych obwieszczeń i przenosząc obliczenia na kartę jeograficzną, można było śledzić drogę „Great Easternu”. Dotąd ten parostatek zrobił tylko 323 mil w przeciągu trzydziestu sześciu godzin. To było niedostatecznem, gdyż mały statek, który się szanuje,

nie powinien w dwudziestu czterech godzinach mniej przepłynąć jak 300 mil.

Rozstawszy się z doktorem, spędziłem resztę dnia z Fabijanem. Schroniliśmy się w tył okrętu, co Pitferge nazywał pójściem na przechadzkę w pole. Tam odosobnieni i oparci na wyniosłości okrętu, patrzeliśmy na morze bez granic. Mocne zapachy, dystylowane we mgłę fal morskich, wznosiły się aż do nas. Małe tęcze na niebie, spowodowane przez promienie łamane, odbijały się w poprzek piany. Szrubka wrzała bałwanami wody na czterdzieści stóp pod naszymi oczami, a kiedy wypływała na wierzch, jej zęby uderzały w fale z większym zamachem, wydobywając zarazem błysk mosiądzu. Morze wydawało się wielkim aglomeratem szmaragdów roztopionych. Grzywiasty ślad okrętu ginął w oka mgnieniu, jednocząc w tej samej drodze mlecznej i wrzenie bałwanów przez szrubę i przez koła wywołane. Ta białość, po której biegły rysunki więcej odznaczające się, przedstawiała się, jak ogromny żagiel rzucony na tło niebieskie. Kiedy mewy, z białymi skrzydłami,

które zdobiły festony czarne, wzlatały nad powierzchnią, pióra ich mieniły się i błyszcząły, szybkim odbiciem. Fabijan patrzył na ten cały urok fal, nic nie mówiąc.

Co on widział w tych morskich głębin lustrze, które nadawało się do najdziwniejszych kaprysów wyobraźni? Czy przesunął się przed jego oczyma, jaki obraz ulotny który mu przesyłał ostatnie pożegnanie? Czy spostrzegał cień jaki zatopiony w tych wirach wody? Wydał mi się daleko smutniejszy niż zwykle, a nie śmiałem go spytać o przyczynę jego smutku. Po tak długim naszym rozłączeniu się on to powinien był mnie się zwierzyć, a ja musiałem zwierzeń jego oczekiwać. Opowiedział mi on przeszłość swego życia o tyle tylko, o ile chciał, abym wiedział, mówił o pobycie w garnizonie Indyjskim, polowaniu, o wyprawach hazardownych, lecz o wzruszeniach napętniających jego serce, o przyczynie westchnień, które pierś mu wznosiły, zamilczał. Zaiste, Fabijan nie był z tych, co szukają ulgi w swych cierpieniach, opowiada-

jąc je innym; a przez to więcej jeszcze cierpienia swe wzmagał.

Staliśmy więc tak pochyleni nad morzem, a kiedy się odwróciłem spostrzegłem, jak duże koła wznosiły się i zanurzały kolejno pod naciśnięciem kołysania.

Za chwilę Fabijan rzekł:

— Ten ślad jest prawdziwie cudowny, pomyśleć by można, że te poruszania fali mają upodobanie w rysowaniu liter! Patrz! litery *l*, litery *e*! A może mnie się tylko tak zdaje? Lecz nie! to rzeczywiście litery! Zawsze te same!

Zbyt nie podrażniona imaginacja Fabijana widziała w tem wirze, to co chciała w nim widzieć. Lecz co znaczyć mogły te litery? Co za wspomnienie wywoływały one w sercu Fabijana?

Wrócił on znowu do swej milczącej kontemplacji. Wreszcie rzekł do mnie porywczo:

— Chodź! chodź! ta przepaść mnie ciągnie!

— Co tobie jest, Fabijanie? — zapytałem biorąc obie jego ręce — co ci jest mój przyjacielu?

— Mam tu — odpowiedział przyciskając pierś — mam tu ból, który mnie zabije!

— Ból? — pytam go — ból bez nadziei wyleczenia?

— Bez nadziei.

I po tych słowach, Fabijan wszedł do sali, a stamtąd do swego pokoiku.

## XI

Na drugi dzień w sobotę, 30 marca, pogoda była ładna. Fale małe, morze spokojne. Ognie regularnie i czynnie podsycane, sprawiały bieg prędszy. Szruba obracała się trzydzieści razy na minutę. Szybkość „Great Easternu” przecho-  
dziła wtenczas dwanaście węzłów (miara odległości w żegludze).

Wiatr zwrócił się na południe. Podkomendny kazał ustawić obydwie maszty z przodu i maszt tylny. Parostatek, lepiej wsparty nie doznawał żadnych kołysań, i powodu tego pięknego nieba, oświetlonego słońcem, pokład cały zaczął się ożywiać, kobiety wystąpiły w ubraniach świe-

żych, jedne się przechadzały, inne usiadły, — chciałem powiedzieć na trawnikach w cieniu drzew; dzieci rozpoczęły swe zabawy przerwane od dwu dni, a żwawe i dobrane korowody biegały w kółko cwałem. Dodawszy kilku wojaków w uniformie, z rękami w kieszeniach, z podniesionym nosem na wiatr, można było myśleć, że jest się na jakim spacerze francuskim.

O trzy kwadranse na dwunastą kapitan Anderson z dwoma oficerami weszli na mostki. Pogoda bardzo sprzyjała obserwacyjom; chcieli zobaczyć wysokość słońca. Każdy z nich trzymał sekstans z lunetą i od czasu do czasu patrzyli na południową część horyzontu, ku której zwierciadło pochylone w ich narzędziach miało sprowadzić gwiazdę dzienną.

— Południe — rzekł w krótkce kapitan.

Natychmiast sternik naznaczył godzinę na zegarze pomostowym, a wszystkie zegarki na okręcie zregulowały się podług tego słońca, którego przejście na południku zostało wskazane.

W pół godziny potem, przyklepiono obwieszczenie następujące:

Szer.  $51^{\circ} 10'$  P.

Dłu.  $24^{\circ} 13'$  Z.

Bieg. 227 mil Odległość: 550.

Więc od wczoraj do dzisiejszego południa zrobiliśmy dwieście dwadzieścia siedm mil. Teraz właśnie była godzina pierwsza i czterdzieści dziewięć minut w Greenwich, i „Great Eastern” znajdował się o sto pięćdziesiąt pięć mil od Fastenet. Przez cały ten dzień nie widziałem Fabijana. Zaniepokojony jego nieobecnością kilka razy zbliżałem się do jego pokoiku, co mię przekonało, że nie wychodził stamtąd wcale.

Tłum zapełniający pokład, musiał mu się widocznie nie podobać. Zapewne unikał tego zgiefku a szukał samotności. Lecz spotkałem kapitana Corsicana, i przez godzinę chodziliśmy razem w tyle okrętu. Często była mowa o Fabijanie. Nie mogłem się powstrzymać, żeby nieopowiedzieć kapitanowi, co wczoraj zaśzło między mną i kapitanem Mac Elwinem.

— Tak — odrzekł Corsican za wzruszeniem, którego nie starał się wcale ukrywać — dwa lata temu Fabijan miał prawo uważać się za najszczęśliwszego z ludzi, a teraz jest najnieszczęśliwszym.

Archibald Corsican opowiedział mi w krótkości, że Fabijan poznał w Bombay młodą ładną dziewczynę pannę Hodges. Kochał ją i był kochanym, zdawało się, że nie istniała żadna przeszkoda co do połączenia się panny Hodges z kapitanem Mac Elwinem, kiedy za pozwoleniem jej ojca, zaczął się o nią starać syn pewnego przemysłowca z Kalkuty. Był to interes, o tak! interes, tylko ukartowany na długo przedtem. Hodges, człowiek stanowczy, surowy, mało powodujący się uczuciami, był wtenczas w drażliwym położeniu względem swojego korespondenta z Kalkuty. To małżeństwo mogło dobrze załatwić wiele rzeczy, poświęcił więc szczęście swej córki dla interesów pieniężnych. Biedne dziecko nie mogło stawić oporu. Oddali ją w ręce człowieka, którego nie lubiła, którego nawet nie mogła lubić i który prawdo-



podobnie jej również nie lubił. Czysty interes, szkaradny interes, a nikczemny czyn. Małżonek drugiego dnia po ślubie zabrał swoją żonę, i od tego czasu, Fabijan szalony z bóleści, cierpiący najokropniej, nie widział już więcej tej, którą zawsze kochał.

Po skończeniu opowiadania, zrozumiałem, że w istocie cierpienia, które znosił Fabijan, były wielkie.

— Jak się nazywała ta młoda dziewczyna?

— Zapytałem kapitana Archibalda.

— Ellen Hodges — odpowiedział.

Ellen! to imię wytłomaczyło mi litery, które Fabijan, jak mu się zdawało, widział wczoraj w śladzie okrętu.

— A jak się nazywa mąż tej nieszczęśliwej kobiety? — zapytałem znów kapitana.

— Harry Drake.

— Drake! — wykrzyknąłem — wszak ten człowiek jest tu na okręcie.

— On! tutaj! — powtórzył Corsican, zatrzymując mnie za rękę i patrząc mi w oczy.

— Tak — odpowiedziałem — jest na okrę-  
cie.

— Daj Boże, aby się chociaż nie spotkali!  
— rzekł poważnie kapitan. — To szczęście, że  
jeden drugiego nie zna, a przynajmniej Fabijan  
nie zna Harry Drake'a. Lecz samo to nazwisko,  
gdyby wymówione było w obec Fabiana, spra-  
wiłoby wybuch.

Opowiedziałem wtedy kapitanowi Corsi-  
canowi, co wiedziałem o Harry Drake'u, a ra-  
czej co mi mówił doktor Dean Pitferge. Opi-  
sałem go takim jak był, jako awanturnika, zu-  
chwalca i rozpustnika już zrujnowanego przez  
grę i birbanteryją, a gotowego na wszystko, by-  
le tylko zebrać majątek. W tej chwili Harry  
Drake przeszedł koło nas. Pokazałem go kapi-  
tanowi. Oczy Corsicana ożywiły się nagle. Zro-  
bił giest gniewu; ale go powstrzymałem.

— Prawda — powiedział mi — to dopie-  
ro fizyjonomia łotrowska!... Lecz gdzież on je-  
dzie?

— Mówię, że do Ameryki, szukać w szczęśliwym losie tego, czego nie chciał znaleźć w pracy.

— Biedna Ellen! — poszepnął kapitan — gdzież ona teraz?

— Może ją ten nikczemnik porzucił?

— Dla czegoż nie miałyby być na okręcie? — zauważył Corsican, patrząc na mnie.

Myśl ta przyszła mi do głowy po raz pierwszy, lecz ją odrzuciłem. Nie. Ellen nie była, nie mogła być na okręcie. Ona nie byłaby uniknęła inkwizycyjnego wzroku doktora Pitferge'a. Nie! Ona nie towarzyszyła Drake'owi w tej podróży!

— O gdyby to mogło być prawdą, co pan mówisz — odpowiedział mi kapitan Corsican — gdyż widok tej biednej ofiary, przywiedzionej do takiego oplakanego stanu, zadałby Fabijanowi cios okropny. Nie wiem, co by stąd nastąpiło. Fabijan jest w stanie zabić Drake'a jak psa. W każdym razie, ponieważ pan jesteś przyjacielem Fabijana, zarówno jak ja sam, będę więc pana prosił o jeden dowód tej przyjaź-

ni. Nie traćmy go nigdy z oczu, i w razie wypadku, niech zawsze jeden z nas będzie gotów rzucić się pomiędzy niego i jego rywala. Pojmujesz pan, że spotkanie z bronią, nie powinno nigdy nastąpić między temi ludźmi. Ani tu, niestety! ani nawet gdzieindziej, żona nie może zaślubić zabójcy swego męża, chociażby ten mąż był najniegodziwszym w świecie.

Zrozumiałem dowodzenie kapitana Corsicana. Fabijan nie mógł sam sobie sprawiedliwości wymierzać. Znaczyło to przewidywać przyszłe wypadki z bardzo daleka. A jednak to być może, te dziwne spraw ludzkich powikłania są zawsze na porządku dziennym, dla czegoż nie zdać sobie z nich rachunku? Lecz miałem złe przeczucie. Czy to podobieństwo, ażeby w tem życiu wspólnem na okręcie, w tem potracaniu się codziennem, Fabijan mógł uniknąć hałaśliwej osobistości Drake'a? Jedna uboczna okoliczność, wzmianka jaka, nazwisko wymówione, jedno nic, czyż nie postawi ich najniezwyklej jednego przed drugim? Ah! jakże bym był chciał wstrzymać bieg tego parostatku, któ-

ry ich obudwu unosił. Nim opuściłem kapita-  
na Corsicana, przyrzekłem mu czuwać nad na-  
szym wspólnym przyjacielem, a pilnować Dra-  
ke'a; i on też ze swej strony obowiązał się nie  
tracić go z widoku. Potem ścisnął mi rękę i roz-  
łączyliśmy się. Wieczorem wiatr południowo-  
zachodni zgęścił mgły na oceanie. Zupełnie  
było ciemno. Pokoje rzęsiście oświetlone, sta-  
nowiły sprzeczność z temi ponuremi głębiami.  
Słysząc było walce i romanse rozlegające się  
kolejno. Oklaski zajadłe przyjmowały je nie-  
odwołalnie, a nawet okrzyków nie brakowało,  
kiedy ten psotnik T... usiadł przy fortepianie  
i zagwizdał śpiewki z aplombem wędrownego  
aktora.

## XII

Nazajutrz 31 marca była niedziela. Jak też ten  
dzień przejdzie na okręcie? Czy to będzie nie-  
dziela angielska lub amerykańska, która zamy-  
ka *taps* i *bars* w czasie nabożeństwa, która wstrzy-  
muje nóż rzeźnika nad głową ofiary, łopateę pie-

karza na brzegu pieca, która zawiesza wszelkie sprawy, przygasza ogniska huty a zwalnia dym w fabrykach, która zamyka sklepy, otwiera kościoły i hamuje ruch pociągów na drogach żelaznych, zupełnie przeciwnie jak robią we Francyi? Tak jest, tak być miało, a przynajmniej podobnie.

A naprzód dla zachowania święta, lubo pogoda była prześliczna i wiatr sprzyjający, kapitan nie kazał rozwieszać żagli. Byliby zyskali kilka węzłów, lecz to byłoby „*improper*”. Cieszyłem się bardzo, że dozwolono kołom i linii śrubowej odbywać swe obroty powszednie, codzienne. A kiedy się pytałem o powód takiej tolerancji jednego zapalonego purytanina ze statku:

— Panie — odrzekł mi poważnie — trzeba szanować to, co pochodzi wprost od Boga. Wiatr jest w jego ręku, a para w rękach ludzkich!

Oczywiście musiałem się zadowolnić jego zdaniem, i przypatrywałem się temu, co się działo na okręcie. Cała służba okrętowa, była w ca-

łej paradzie i ubrana nadzwyczaj czysto. Nie zdziwiono by mię wcale, mówiąc że palacze pracują w czarnych ubraniach. Oficerowie i inżynierowie mieli na sobie najparadniejsze uniformy ze złotymi guzikami. Trzewiki połyskiwały blaskiem brytańskim, i rewalizowały z natężeniem promieniowaniem kaszkietów ceratowych. Wszyscy ci tędzy ludzie ubrani i uczesani, wyglądali jakby wyszli z pudełka. Kapitan i jego podkomendny dawali przykład, w rękawiczkach świeżych, zapięci po wojskowemu, błyszczący i wyperfumowani, przechadzali się po pokładzie, czekając godziny nabożeństwa.

Morze było wspaniałe i jaśniało pod pierwszymi promieniami wiosny. Nie było widać żadnego żagla. „Great Eastern” sam jeden zajmował punkt matematyczny wśród tego obszernego horyzontu. O godzinie dziesiątej dał się słyszeć dzwon bijący wolno i w regularnych przestankach. Dzwonił nim sternik w paradnym ubraniu i wydobywał z tego dzwonu jakieś tony religijne, a nie owe dźwięki metaliczne, któremi towarzyszył gwizdawce kodów,

kiedy parostatek płynął wśród mgły. Mimoswolnie szukało się wzrokiem dzwonu parafijalnego zwołującego na mszę.

W tej chwili liczne grupy pokazały się we drzwiach z tyłu i z przodu okrętu. Mężczyźni, kobiety i dzieci ubrali się starannie z powodu tej okoliczności. Bulwary w krótkce się zapełniły. Przechadzający zamieniali z sobą skromne ukłony. Każdy trzymał w ręku książkę do nabożeństwa, a wszyscy oczekiwali ostatniego uderzenia dzwonu oznajmującego rozpoczęcie modłów. Widziałem wówczas niesione stoły biblij, nałożonych na blacie, który służył zwykle do roznoszenia potraw. Biblie te rozstawione zostały po stołach kaplicy.

Kaplica była to duża sala jadalna z przodu okrętu, która zewnętrznie przez swoją długość i regularność przypominała pałac Ministerstwa Finansów na ulicy Rivoli. Wszedłem. Wiernych siedzących przy stołach była wielka liczba. Głęboka cisza panowała wśród zebranych. Oficerowie zajmowali część przednią kaplicy: Pomiedzy niemi przewodził kapitan Arderson



jak pastor. Mój przyjaciel Dean Pitferge usiadł obok mnie. Małe jego przenikliwe oczy biegały po tem całym zebraniu. Domyślałam się, że on tam był więcej z ciekawości jak z nabożeństwa.

O w pół do jedenastej kapitan wstał i rozpoczął modlitwy. Czytał po angielsku jeden rozdział ze starego testamentu, wyjąty z drugiej księgi Mojżeszowej. Po każdym wierszu obecni mruźli wiersz następny. Słysząc było wyraźnie, jak ostry sopran dzieci i mezzo-sopran kobiet, oddzielał się od barytonu mężczyzn. Ta rozmowa biblijna trwała blisko pół godziny. Ceremonija ta bardzo skromna a zarazem bardzo podniosła, dokonywała się z prawdziwie purytańską powagą; a kapitan Anderson sprawujący obowiązek pastora na okręcie, wśród tego bez granicznego oceanu i mówiący do tego tłumu zawieszzonego nad przepaścią, miał prawo do szacunku nawet u najbardziej obojętnych. Gdyby się nabożeństwo ograniczyło było na czytaniu, byłoby dobrze, lecz po kapitanie wystąpił kaznodzieja, który nie mógł przenieść na siebie, żeby nie wnieść namiętności

i gwałtowności tam, gdzie powinna panować tolerancja i zebranie ducha. Był to wielebny, o którym już wzmiankowaliśmy, ów mały człowiek ruchliwy, ów intrygant Yankee, jeden z owych mistrzów których wpływ jest tak wielki w stanach Nowej Anglii. Miał już kazanie przygotowane, a że się dobra nadarzyła sposobność, chciał je zużytkować. Kochany Yorick czyżby nie tak samo postąpił? Spojrzałem na doktora Pitferge'a. Doktor Pitferge ani mru-gnął, wydawał się przysposobionym do zniesienia zapału kaznodziei.

Ten zaś zapiął poważnie swój czarny surdut, położył kapelusz jedwabny na stole, wyciągnął chustkę, którą lekko dotknął ust i obejmując zebranych kolistem spojrzeniem: „Na początku — rzekł — Bóg stworzył Amerykę w przeciągu sześciu dni, siódmego odpoczął”. Ledwie to posłyszałem byłem, już u drzwi.

## XIII

W czasie śniadania, Dean Pitferge opowiedział mi, że wielebny cudownie rozwinął swój tekst. Monitory, maszyny wojenne, forty obwarowane, torpille podmorskie, wszystkie te wynalazki weszły do jego kazania. Sam siebie zrobił wielkim na zasadzie wielkości Ameryki. Jeżeli się to podoba Ameryce, być wychwaloną w ten sposób, to nie mam nic więcej do powiedzenia. Wchodząc do dużego salonu, przeczytałem obwieszczenie następujące:

Szer.  $50^{\circ} 8' P$ .

Dłu.  $30^{\circ} 44' Z$ .

Bieg. 255 mil.

Zawsze ten sam rezultat. Dopiero zrobiliśmy tysiąc sto mil, licząc w to trzysta dziesięć mil które oddzielają FasŁenet od Liverpoolu. Stanowiło to blisko trzecią część podróży. Przez cały dzień oficerowie, majtkowie pasażerowie i pasażerki, odpoczywali, jak Pan Bóg po stworzeniu Ameryki. W pokojach ci-

chych ani jeden fortepijan się nie oderwał. Szachy nie wyszły ze skrzynki, ani karty ze swego pudełka. Pokoje do gry były próżne. Tego dnia miałem sposobność zapoznać doktora Pitferge'a z kapitanem Corsicanem. Mój oryginał zabawił wielce kapitana, opowiadając mu tajemną kronikę „Great Easternu”. Starał się go przekonać, że to był okręt potępiony, z czarowany, że go spotka straszne nieszczęście. Legenda o „mechaniku zalutowanym” bardzo się podobała Corsicanowi, który jako szkot, był wielkim lubownikiem nadzwyczajności, jednakże nie mógł się wstrzymać od uśmiechu niedowierzania.

— Widzę — zauważył doktor Pitferge — że kapitan nie wierzy moim legendom?

— Bardzo!... to wiele znaczy! — odrzekł Corsican.

— Czy uwierzysz mi więc, kapitanie — zapytał doktor tonem poważniejszym — jeżeli pana przekonam, że ten okręt jest w nocy nawiedzany?

— Nawiedzany! — wykrzyknął kapitan. — Jak to! Więc w to się mieszają duchy? I pan temu wierzysz?

— Wierzę — odrzekł Pitferge — wierzę temu, co opowiadają ludzie godni wiary. Trzymam się zaś tego co mi opowiadali jednozgodnie oficerowie kolejni i majtkowie, że w czasie głębokiej nocy, jakaś postać jak cień przechadza się po okręcie. Jak ona się zjawia? nie wiadomo. Jak niknie? także nic o tem nie powiedzą.

— Na świętego Dunstana! — zawołał kapitan Corsican — będziemy ją pilnowali razem.

— Tej nocy? — spytał doktor.

— Tej nocy, jeżeli pan chcesz. A pan — dodał kapitan, zwracając się do mnie — będziesz nam towarzyszył?

— Nie — odrzekłem — nie chcę zakłócać inkognita tego widma. Zresztą wolę myśleć, że nasz doktor żartuje.

— Ja nie żartuję — odpowiedział uparty Pitferge.

— Ależ pozwól doktorze — rzekłem. — Czy pan rzeczywiście wierzysz w umarłych, którzy powracają na pokład statków?

— Wierzę nawet w umarłych, którzy zmarłych wstają — odpowiedział doktor — a tem bardziej dziwnem to się może wydawać, że jestem lekarzem.

— Lekarzem! — powtórzył kapitan Corsican, odsuwając się, jakby go ten wyraz zaniepokoił.

— Uspokój się kapitanie — odrzekł doktor z miłym uśmiechem — nie trudnię się praktyką w podróży!

## XIV

Nazajutrz pierwszego kwietnia, morze miało pozór wiosenny. Zieleniło się jak łąka pod pierwszymi promieniami słońca. Ten wschód słońca kwietniowy na Atlantyku, był cudowny. Fale toczyły się rokosznie, a kilku delfinów płaszało, jak clowny wśród mlecznego śladu okrętu.

Spotkałem kapitana Corsicana. On mi opowiedział, że duch zapowiedziany przez doktora, uważał za niestosowne pokazywać się. Zapewnie noc nie była dosyć ciemną dla niego. Przyszło mi na myśl, że to była mistyfikacja Pitferge'a, której użył na pierwszego kwietnia, gdyż w Ameryce, w Anglii równie jak we Francji, zwyczaj ten jest bardzo rozpowszechniony. A oszukujących i oszukiwanych w tym dniu nie brakowało. Jedni się śmiali, inni gniewali. Nawet zdaje mi się, były tam i uderzenia pięści, lecz między saksonami te uderzenia pięścią nigdy się nie kończą uderzeniem szabli. Wiadomo istotnie, że w Anglii pojedynki sprawdza bardzo srogie kary. Oficerom i żołnierzom nawet zabroniono bić się, z jakiegokolwiek by to miało być powodu. Zabójca jest skazany na kary cielesne i hańbiące w najwyższym stopniu; przypominam sobie, że doktor wymieniał mi nazwisko jednego oficera, który jest na wygnaniu od lat dziesięciu, za to, że zranił śmiertelnie swego przeciwnika w pojedynku nawet bardzo prawnym. Łatwo więc pojąć, że w obec

tak surowego prawa, pojedynk znikł zupełnie z zakresu obyczajów brytańskich.

Przy tak pięknym słońcu, obserwacja południa była bardzo dobra. Wypadło z niej, że szerokość była  $48^{\circ}47'$  długość  $36^{\circ}48'$ , a przebieg dwieście pięćdziesiąt mil tylko. Najmniejszy zaatlantycki statek, miał prawo zrobić nam zarzut. To bardzo gniewało kapitana Andersona. Inżynier przypisywał ten brak szybkości niedostatecznemu przewiewowi nowych ognisk. Ja myślałem, że ta wada ruchu głównie pochodziła od kół których średnicę nieroztropnie zmniejszono. Jednak tego dnia około godziny drugiej, nastąpiło polepszenie w szybkości parostatku!

Postawa dwojga młodych narzeczonych odkryła mi tę zmianę. Oparci o parapet z boku okrętu, szeptali jakieś radosne wyrazy i klaskali w ręce. Patrzeli z uśmiechem na rury, które się wznosiły wzdłuż kominów „Great Easternu” i których otwór pokrywał się lekką parą białą. Ciśnienie poszło w kotły szruby i silne działanie zmusiło klapy, których ciężar dwudziestu



i jeden funtów na każdy cal kwadratowy nie mógł dłużej wstrzymać. Było to zaledwie słabe wciągnięcie powietrza, mało znaczący oddech, podmuch, lecz nasi młodzi ludzie połykali go wzrokiem. Nie! Dyjonizy Papin nie był szczęśliwszym, kiedy zobaczył parę na pół wznoszącą pokrywę swego sławnego kociołka!

— Wychodzi para, wychodzi para! — wykrzyknęła młoda miss, a lekka para wychodziła także z jej ust wpółotwartych.

— Chodźmy zobaczyć maszynę! — odrzekł młody człowiek, przyciskając rękę swej narzeczonej.

Dean Pitferge przyłączył się do mnie. Poszliśmy za zakochaną parą.

— Jakie to ładne! młodość! — powtarzał mi.

— Tak — odpowiedziałem — młodość we dwoje.

Wkrótce i my byliśmy pochyleni na drzwiczkach maszyny szrubowej. Tam na dnie tej głębokiej studni, na sześćdziesiąt stóp pod naszymi oczami, spostrzegliśmy cztery długie wały

poziome, które się przechylały jeden za drugim, zwilgotniając się za każdym poruszeniem, kroplą oliwy śliskiej.

Tymczasem młody człowiek wyjął zegarek, a panna pochyłona na jego ramieniu patrzyła na skazówkę, pokazującą sekundy. Podczas gdy ona patrzyła, jej narzeczony rachował obroty szruby.

— Jedna minuta! — powiedziała.

— Trzydziesta siedm obrotów! — odrzekł młody człowiek.

— Trzydzieści siedm obrotów i pół — zauważył doktor który sprawdzał działanie.

— I pół! — zawołała młoda miss. — Słyszysz Edwardzie! Dziękuję panu — dodała zwracając się do godnego Pitferge'a z uprzejmym uśmiechem.

## XV

Wchodząc do dużego salonu, zobaczyłem następujący program przyklepiony na drzwiach:

*THIS NIGHT*

*First part*

„Ocean Time” — Mr. Mac Alpine.

Song: *Beautiful isle of the sea* — Mr. Ewing.

Reading — Mr. Affleet.

Piano solo: *Chaut du berger* — Mr. Alloway.

Scotch Song — Doktor T...

*Intermission of ten minutes.*

*Part second*

Piano solo — Mr. Paul V...

Burlesque: *Lady of Lyon* — Doctor T...

Entertainment — Sir James Anderson.

Song: *Happy moment* — Mr. Norville.

Song: *Your remember* — Mr. Ewing.

*Finale:*

*God save the Queen.*

Był to jak widzimy, zupełny koncert z pierwszą częścią, przestankiem, drugą częścią i za-

kończeniem. Jednak zdawało się czegoś brakować, gdyż usłyszałem za sobą mruczenie:

— Wybornie! Niema Mendelsohna!

Odwróciłem się. Był to prosty steward; protestował on przeciw opuszczeniu swojej ulubionej muzyki.

Wyszędłszy na pokład, zacząłem szukać Mac Elwina. Corsican właśnie mi powiedział, że Fabijan wyszedł ze swego pokoiku, więc nie naprzykrzając mu się naturalnie, chciałem go wyrwać z samotności. Znalazłem go na przodzie parostatku. Rozmawialiśmy przez jakiś czas, lecz nie zrobił żadnej wzmianki o swoim przeszłym życiu. W pewnych chwilach, był zamyślony i milczący, zatopiony sam w sobie, nie słyszał słów moich, przyciskał swą pierś, jakby dla przytłumienia spazmatycznego bólu. Gdy tak przechadzaliśmy się, Harry Drake, skrzyżował się z nami po kilka razy. Zawsze ten sam krzykliwy i machający rękami, zawadzając jak młyn w ruchu, gdyby był w sali do tańca! Czy się myliłem? nie umiem tego powiedzieć, gdyż byłem uprzedzony, lecz zdawało mi się, że Harry Dra-

ke patrzył na Fabijana z pewnem natężeniem, Fabijan musiał to spostrzedz, gdyż mi powiedział.

— Co to za człowiek?

— Nie wiem — odpowiedziałem.

— Niepodoba mi się! — dodał Fabijan.

Postaw dwa statki na pełnym morzu, bez wiatru, bez nurtu, a w końcu spotkać się muszą. Zarzuć dwie nieruchome planety w przestwór a wpadnie jedna na drugą. Umieść dwu nieprzyjaciół wśród największego tłumu, a nieochybnie się spotkają: Jest to rzeczą nieuchronną. Kwestyja czasu — nic więcej. Za nadejściem wieczoru nastąpił koncert podług programu. Duży salon zapełniony słuchaczami, był oświetlony rzęsiście! We drzwiach wpólotwartych pokazywały się duże ogorzałe twarze i grube czarne ręce majątków. Wydawały się jak maski, zagłębione w architekturze sufitu. We drzwiach uchylonych mrowili się stewardy. Większa część spektatorów, mężczyzn i kobiet, zaraz przy wejściu siedzieli na sofach bocznych, i w środku na fotelach, ławkach i krzesłach. Wszyscy umie-

ścili się wprost fortepianu mocno przybitego między dwoma drzwiami, które się otwierały do salonu damskiego! Od czasu do czasu, poruszenie fali wzruszało obecnych; krzesła się posuwały, jakieś kołysanie nadawało jednako- we ruchy tym wszystkim głowom, czepiali się jeden drugiego, zcicha, bez żartów. Lecz ko- niec końcem nie można się było obawiać upad- ku. Zaczęło się od „Ocean Time”. „Ocean Ti- me” był to dziennik codzienny, polityczny, han- dlowy i naukowy, który założyli pasażerowie dla użytku na okręcie. Amerykanie i Anglicy lubili bardzo ten rodzaj spędzenia czasu. Pismo swe redagują podczas dnia. Powiedzmy, że je- żeli redaktorzy nie są trudni w wyborze arty- kułów, to tem bardziej czytelnicy. Poprzestają na małym, a nawet „za małym”.

Ten numer z 1-go kwietnia obejmował ar- tykuł wstępny dosyć niejasny, polityki ogól- nej, fakta rozmaite, któreby nie rozśmieszyły francuza, kurs giełdy mało zabawny, telegra- my bardzo naiwne i kilka błędnych nowin pod- ręcznych. Przy tem wszystkim podobne żarty

zajmują tylko tych, którzy je tworzą. Szanowny Mac Alpine, Amerykanin dogmatyczny, czytał z przekonaniem te wypracowania mało żartobliwe, z wielkim uwielbieniem słuchaczy, i zakończył swe czytanie nowinami następującymi:

— Zawiadamiają, że prezydent Jonson abdykował na rzecz generała Granta.

— Donoszą jako rzecz pewną, że papież Pijus IX wyznaczył księcia cesarskiego na swego następcę.

— Mówią, że Ferdynand Cortez, rozpoczął proces o przedruk, z Cesarzem Napoleonem III, za podbicie Meksyku.

Kiedy „Ocean Time” został dostatecznie wychwalony, szanowny P. Ewing bardzo ładny chłopiec, tenor, zaśpiewał: *Piękną wyspę na morzu*, z całą ostrością gardła angielskiego.

*Reading* (czytanie) wydawało mi się przedmiotem wątpliwego powabu. Był to sobie po prostu jakiś zacny Teksyjczyk, który przeczytał dwie czy trzy kartki z książki najprzód głosem cichym a potem głośno.

*Śpiew pasterza* na fortepijan solo, przez panią Alloway, angielską która grała „*en blond mineur*” jakby powiedział Teofil Gautier, i facecja szkocka doktora T... zakończyły pierwszą część programu.

Po dziesięciu minutach przestanku, w przeciągu którego żaden ze słuchaczy nie opuścił swego miejsca, druga część koncertu rozpoczęła się.

Francuz Paweł V... zagrał dwa zachwycające walce, dotąd nie wydane, które były przyjęte głośnie mi oklaskami. Doktor okrętowy, mężczyzna ładny, brunet, bardzo zadawalniający, oddeklamował scenę śmieszna, rodzaj parodii *Pani z Lyonu* dramatu wielce modnego w Anglii.

Po farsie nastąpiło „*entertainment*” zabawa. Co przygotowywał pod tym nazwiskiem sir James Anderson? Czy to miała być mowa czy kazanie? Ani jedno ani drugie. Sir James Anderson wstał, ciągle uśmiechnięty, wyjął talię kart z kieszeni, zawinął swoje białe mankie-



ty i pokazywał sztuki, a jego zręczność nagradzała ich naiwność. Znów okrzyki i oklaski.

Po *Happy moment* pana Norville i *Your remember* pana Ewing, program zapowiadał *Boże królową chroń*.

Lecz kilku amerykańców, prosiło Pawła V.... jako Francuza, aby im zagrał śpiew narodowy francuski. Zaraz też mój uległy współziomek rozpoczął nieuchronną *Partant pour la Syrie*. Nastąpiły gwałtowne prośby grona „północnych” którzy chcieli słyszeć *Marsylijanke*. I nie dając się prosić, grzeczny fortepijanista, z powolnością która cechowała raczej, łatwość muzyczną, jak przekonanie polityczne, uderzył silnie w klawisze wydobywając z nich śpiew *Rougeta de l’Isle*, było to wielkie powodzenie koncertu. Później zebranie wstało, i zaintonowało wolno, hymn narodowy, który prosi Boga o zachowanie królowej. Koniec końcem ten wieczór wart był tyle co i inne wieczory amatorskie, to jest zadowolnił przede wszystkim wykonawców i ich przyjaciół. Fabian całkiem się niepokazywał.

## XVI

W nocy z poniedziałku na wtorek, morze było bardzo burzliwe. Przegrody rozpoczęły swoje jęki, a skrzynie swoją przechadzkę po pokojach. Kiedy wyszedłem około siódmej z rana na pomost, deszcz padał. Wiatr się wzmógł, oficer służbowy kazał zwinąć żagle. Parostatek nie mając oparcia, kołysał się okropnie. Przez ten dzień to jest drugiego Kwietnia na pokładzie nie było nikogo. Nawet salony były puste. Pasażerowie, pochowali się do swoich pokoików i dwie trzecie biesiadników zaniechało przyjść na śniadanie i obiad. Wist się nie udał, gdyż stoliki z pod ręki graczy się usuwały. W szachy grać było niepodobna. Kilku odważniejszych leżało na kanapach, czytając lub śpiąc. A cóż dopiero stanąć przeciwko deszczowi na pokładzie! Tam majtkowie poubierani w kaszkiety i w kaftany ceratowe, przechadzali się jak filozofowie. Podkomendny, siedząc na mostku dobrze obtulony w swój kauczuk, pełnił służbę. Pod tą ulewą wśród wiatru morskiego, je-

go małe oczy błyszczały radośnie. On to lubiał... a parostatek kołysał się jak mu się podobało! Wody nieba i morza łączyły się we mgłę na jakie kilka sążni od okrętu. Atmosfera była szara. Niektóre ptaki przelatowały po przez tę mgłę wilgotną, krzyżąc. O godzinie dziesiątej, z przodu okrętu dano znać o małym trzymasztowym statku, który biegł na przeciw wiatru, lecz nie można było poznać jego narodowości.

Okolo jedenastej, wiatr ustawał i zwrócił się na północno zachód. Deszcz ustał prawie nagle. Błękit nieba się pokazał, po przez kilka przedartych chmur. Słońce ukazało się z blaskiem i można było zrobić spostrzeżenia mniej więcej dokładne. Obwieszczenie składało się z liczb następujących:

Szer.  $46^{\circ} 29'$  P.

Dłu.  $42^{\circ} 25'$  Z.

Odległość: 256 mil.

Tak więc chociaż ciśnienie w kotłach było większe, szybkości okrętowi nie przybyło. Lecz winę można było przypisać wiatrowi zachod-

niemu, który dmąc w przód okrętu musiał bieg jego znacznie opóźnić.

O godzinie drugiej mgła zgęściła się nagle. Nieprzezroczystość jej była tak wielka, że oficerowie, będący na stanowiskach, nie widzieli ludzi na przodzie okrętu. Te wyziewy nagromadzone na falach stanowią największe niebezpieczeństwo żeglugi, stają się przyczyną zetknięcia się dwu okrętów, którego uniknąć nie podobna; a takie zetknięcie się na morzu, jest straszniejsze od pożaru.

Dla tego też, w pośród mgły, oficerowie i majtkowie czuwali z największym staraniem, a ta przezorność niebyła bezużyteczną, gdyż niespodziewanie około trzeciej ukazał się trzymasztowy statek mniej jak o dwieście metrów od „Great Easternu”, zagle bowiem zerwane podmuchem wiatru władać nim nie mogły. „Great Eastern” zdążył zrobić obrót i minął go, dzięki szybkości, z jaką ludzie służbowi dali o nim znać sternikowi. Znaki te bardzo dobrze urządzone, robiły się za pomocą dzwonu umieszczonego na najwyższym piętrze z przodu okrę-

tu. Jedno uderzenie znaczyło: statek z przodu. Dwa uderzenia, statek z prawego boku. Trzy uderzenia: statek z lewego boku. I zaraz człowiek będący u steru, zarządzał w ten sposób, aby uniknąć uderzenia dwu statków.

Wiatr wiał do samego wieczora. Jednakże kołysanie się zmniejszyło, gdyż morze już zasłonięte w szerz wysokimi gruntami Nowej Ziemi, nie mogło się wzburzyć. To też nowe, *entertainment* pana Jakóba Andersona było na ten dzień zapowiedziane. O oznaczonej godzinie, salony się zapełniły. James Anderson opowiedział historiją owej liny zaatlantycznej, którą on sam osadził. Pokazywał ryciny fotograficzne przedstawiające rozmaite narzędzia wymyślane do zagłębiania. Dawał z rąk do rąk model łączników służących do zszczępienia kawałków liny. Ostatecznie wart był bardzo słusznych trzykrotnych okrzyków, które zakończyły jego prelekcyją, a z których wielka część odnosiła się do promotora tego przedsięwzięcia t.j. do szanownego Cyrusa Field, obecnego na tym wieczorze.

## XVII

Nazajutrz 3 Kwietna, z pierwszemi godzinami dnia, horyzont przedstawiał tę barwę osobliwą, którą Anglicy nazywają *blinck*. Było to odbicie białawe, oznajmiające lody niezbyt oddalone. Rzeczywiście, „Great Eastern” płynął wówczas w tych stronach, gdzie idą pierwsze *ice-bergs* oderwane od kry lodów, wychodzących z cieśniny Davis. Urządzono osobny nadzór dla uniknięcia gwałtownych zetknięć z temi ogromnemi masami. Wiał także wówczas ostry wiatr z północy. Kawałki chmur, prawdziwe szmaty z pary, zamiatały powierzchnią morza. Pomiedzy ich odstępami, odznaczał się błękit nieba. Głuche pluskanie wydawały fale wzburzone wiatrem, a krople wody obracały się w pianę.

Ani Fabijan, ani kapitan Corsican ani doktor Pitferge, nie wyszli jeszcze na pokład. Udałem się na przód okrętu. Tam zbliżenie ścian tworzyło kąć wygodny, rodzaj schronienia, do którego pustelnik byłby się chętnie usunął od

ludzi. Wcisnąłem się w ten kącik, usiadłem na wyplatance, opierając nogi na ogromnym bloku. Wiatr dmąc w okręt i uderzając o drzewo z przodu statku, przechodził po nad moją głową, nie dotykając jej. Było to dobre miejsce do marzeń. Stamtąd mój wzrok obejmował całą niezmierną przestrzeń okrętu. Mogłem śledzić długie jego linije lekko wycinane, wznoszące się ku tyłowi. Na pierwszym planie majtek siedzący na bocianiem gnieździe trzymał się jedną ręką a pracował drugą ze zręcznością nadzwyczajną. Poniżej na rufie chodził majtek kolejny, tam i napowrót, z nogami rozstawionymi, rzucając wzrok jasny z pod powiek zaczerwienionych z powodu mgły. Z tyłu na mostkach zobaczyłem oficera, z okrągłemi piecami, z głową nakrytą kapturem, opierającego się napaściom wiatru. Od strony morza nic nie spostrzegłem w tyle buduarów: Parostatek pędzony potężnemi swemi machinami, przez fale, drżał jak wnętrze kotła, którego ogniska są czynnie podsycane. Kilka wirów pary, wyrwanym tym wiatrem, co je zgęszczał z szybko-

ścią nadzwyczajną, wiło się przy ujściu kominów. Lecz ten kolosalny okręt wprost wiatru i niesiony na tych potrójnych falach morskich, zaledwie odczuwał te wstrząśnienie morza, na którem inny zaatlantyk mniej obojętny na poruszenia fal, zostałby wstrząśnięty uderzeniami kołysań.

O w pół do pierwszej z miejsca oznaczonego posunęliśmy się wszerz  $44^{\circ} 53'$  na północ, a na długość  $47^{\circ} 6'$  na zachód. Dwieście dwadzieścia siedm mil tylko w przeciągu dwudziestu czterech godzin! Młodzi narzeczeni musieli złorzeczyć tym kołom, co się nie obracały, tej linii szrubowej, której poruszenia szły tak powoli, i tej niedostatecznej parze, która nie działała według ich życzenia!

Około godziny trzeciej, niebo oczyszczone wiatrem zajaśniało. Linije horyzontu, wyraźnie odznaczone zdawały się rozszerzać w około tego punktu środkowego, który „Great Eastern” zajmował. Wiatr ustał, lecz morze wznosiło się długo w szerokich falach, cudnie zielonych i ubranych w pianę. Taki mały wiatr nie mógł spr-



wiać kołysania. Te falowania były nieproporcjonalne. Można powiedzieć, że ocean był jeszcze zadąsany.

O godzinie trzeciej i trzydzieści pięć minut oznajmiono trzymasztowy statek z przodu okrętu. Przesłał on nam swój numer. Był to statek amerykański, „Illinois”, płynący do Anglii.

W tej chwili, porucznik H... powiedział mi, że przepływamy na samym końcu granicy New Found Landu, nazwisko, które Anglicy nadają wysokim brzegom Nowej Ziemi. Jestto okolica bogata, gdyż tu poławiają owe dorsze, z których trzy wystarczyłoby na wyżywienie Anglii i Ameryki, gdyby wszystkie ich jaja się wykluwały.

Dzień przeszedł bez żadnego wypadku. Pokład zajęli zwykli spacerujący. Dotąd nie spotkał się jeszcze Fabijan z Harry Drake'm, którego kapitan Archibald i ja nie traciliśmy z oczu. Wieczór zebrał w dużym salonie swoich popularnych zwolenników. Zawsze te same zabawy, czytanie i śpiewy sprowadzające te same okla-

ski, dawane temi samemi rękami tym samym wirtuozom, których w końcu zacząłem uważać za mniej miernych. Nastąpiła bardzo żywa rozprawa, jako wypadek nadzwyczajny, pomiędzy Północnym a Teksyjczykiem. Ten ostatni chciał „cesarza” dla stanów południowych. Bardzo szczęśliwie ta rozprawa polityczna, która groziła kłótnią, została przerwana, przybyciem zmyślonej depeszy do „Ocean Time” zawierającej te słowa: „Kapitan Semmes, minister wojny, kazał zapłacić stanom południowym za spustoszenia, których się dopuścił statek »Alabama«!”

## XVIII

Opuściwszy salon jasno oświetlony, wszedłem z kapitanem Corsicanem na pomost. Noc była głęboka. Ani jednej konstelacyi na firmamencie. Wokoło okrętu ciemność nieprzejrzała. Okna błyszcząły jak szczeliny pieca. Zaledwie można było dojrzeć ludzi służbowych chodzących wolno na najwyższym szczycie w tyle

okrętu. Lecz oddychało się powietrzem czystym, a kapitan wciągał te świeże atomy pełnymi płucami.

— Dusilem się w salonie — rzekł do mnie. — Tutaj przynajmniej pływam w pełnej atmosferze! Otóż to oddychanie ożywiające. Mnie potrzeba koniecznie moich stu metrów sześciennych powietrza czystego na dwadzieścia cztery godzin, bo inaczej jestem na wpół uduszony.

— Oddychaj kapitanie, oddychaj dowoli — odpowiedziałem mu. — Jest tu powietrza dla wszystkich, a fala morska nie będzie się upominała o część na pana przypadającą. Dobra to rzecz ten tlen, a trzeba przyznać, że nasi paryżanie i nasi londyńczycy znają go tylko z imienia.

— Tak! — odrzekł kapitan — oni wolą kwas węglany. Każdy ma swój gust. Co do mnie, nie cierpię go nawet w winie szampańskim!

W ten sposób rozmawiając, chodziliśmy wzdłuż bulwaru na prawej stronie okrętu, zasłonięci od wiatru wysoką ścianą rufy. Ogromne kłęby

dymu, przetykane iskrami unosiły się z czarnych kominów. Chrapanie machin towarzyszyło gwizdaniu wiatru po przez liny żelazne idące w drabinkę od wierzchu masztu, które wydawały dźwięki jakby strun harfy. Do tego wrzasku, od czasu do czasu, mięszał się krzyk majtków wołających: *All's well! all's well!* Wszystko idzie dobrze! Wszystko idzie dobrze! Rzeczywiście nie pominięto żadnej przezorności dla zapewnienia okrętowi bezpieczeństwa wśród tych miejsc odwiedzanych przez lody. Kapitan kazał zaczerpać kubel wody dla rozpoznania temperatury, i gdyby temperatura ta spadła o stopień niżej, nie byłby się zawahał zmienić drogę. Wiedział, że w istocie przed dwoma tygodniami „Pereire” został otoczony krami lodu pod tą właśnie szerokością; było to niebezpieczeństwo, którego należało uniknąć. Z resztą jego rozkaz nocny przepisywał czuwanie nadzwyczajne. On sam nie kładł się spać. Dwu oficerów było przy jego boku, jeden przy znakach kół, a drugi przy znakach śruby. Co więcej jeden porucznik i dwu służących zmieniali

się kolejno przy izdebce z przodu okrętu, gdy w tym czasie kwatermistrz i majtek byli na przodzie parostatku. Podróżni mogli być spokojni.

Zauważywszy te rozporządzenia, zwróciliśmy się z kapitanem Corsicanem ku tyłowi okrętu. Przyszło nam na myśl przepędzić jakiś czas jeszcze przy wielkim rudlu, zanim wejdziemy do swoich pokoików, tak jak byliby zrobili spokojni mieszkańcy na dużym placu swego miasta. Miejsce wydało nam się pustem. Wkrótce jednak oczy nasze przywykły do tej ciemności, i spostrzegliśmy człowieka opartego o poręcz nad przepaścią, pogrążonego w zupełnej nieruchomości. Corsican przypatrzywszy mu się dobrze, rzekł mi:

— To Fabijan.

Byłto Fabijan rzeczywiście, poznaliśmy go; lecz on zatopiony w głębokim zamyśleniu, wcale nas nie widział. Wzrok jego jak się zdawało zwrócony był w kąt rudla, widziałem jego oczy błyszczące w ciemności. Na co on się tak patrzył? Jak mógł przejrzeć tę ciemność głęboką? Ja uważałem, że lepiej byłoby pozostawić mu

swobodę w rozmyślaniu, lecz kapitan Corsican przysuwając się:

— Fabijanie? — zawołał.

Fabijan nie odpowiedział. Nie słyszał. Corsican znów go zawołał. Fabijan drgnął, odwrócił na chwilę głowę i wymówił to jedno słowo:

— Cicho!

Później ręką wskazał cień, który się z wolna poruszał w oddaleniu. Temuto zaledwie widzialnemu cieniowi przypatrywał się Fabijan. Potem uśmiechnąwszy się smutnie:

— Dama czarna! — poszepnął.

Wstrząsnąłem się. Kapitan Corsican wziął mnie za rękę, poczułem, że i on drżał także. Jedna myśl uderzyła nas obydwu. Ten cień był to duch, o którym nam mówił doktor Pitferge. Fabijan znów się zatopił w swe senne rozmyślanie. Ja z pierśią zapartą, wzrokiem niespokojnym, patrzyłem na tę postać ludzką, zaledwie naszkicowaną w ciemności, która wkrótce przedstawiła się widoczniej naszym oczom. Szła naprzód, wahała się, postępowała, zatrzymywała się, znowu się poruszała, zdawała się

ślizgać raczej aniżeli iść. Dusza błądząca. O dzie-  
sięć kroków od nas stanęła nieruchomie. Wten-  
czas mogłem rozróżnić postać kobiety wysmu-  
kłej, ubranej szczupło, w jakiś rodzaj burnusa  
brązowego; twarz miała zakrytą gęstym wo-  
alem.

— Obłąkana! obłąkana! nie prawdaż? —  
poszepnął Fabijan.

Byłato rzeczywiście obłąkana. Lecz Fabi-  
jan nas nie zapytywał. On mówił sam do sie-  
bie; tymczasem ta biedna istota, przysunęła się  
do nas jeszcze bliżej. Zdawało mi się, że wi-  
dzę jej oczy błyszczące przez ten woal, kiedy  
je zwracała na Fabijana. Przyszła aż do niego,  
Fabijan wyprostował się zelektryzowany. Ko-  
bieta zawoalowana, położyła mu rękę na sercu  
jakby dla obrachowania jego uderzeń... Potem  
wymknąwszy się znikła nagle w tyle okrętu.  
Fabijan upadł prawie na kolana, z rękami wy-  
ciągniętymi.

— Ona! — poszepnął.

Później pochylając głowę:

— Co za przywidzenie! — dodał.

W tedy kapitan Corsican wziął go za rękę:  
— Chodź Fabijanie, chodź — rzekł wy-  
prowadzając swego nieszczęśliwego przyjaciela.

## XIX

Nie mogliśmy z Corsicanem już wątpić. Była to Ellen, narzeczona Fabijana, żona Harry Drake'a. Zrządzenie losu zgromadziło ich wszystko troje na jeden okręt. Fabijan jej nie poznał, chociaż wykrzyknął: Ona! ona! Bo jakże mógł ją poznać? Lecz nie mylił się mówiąc: Obląkana! Ellen była obląkaną, i zapewne boleść, rozpacz, miłość zniszczona w jej sercu, związek z człowiekiem niegodnym, co ją wyrwał Fabijanowi, ruina, stan oplakany, wstyd, wszystko to złamało jej duszę! O tem rozmawialiśmy na drugi dzień rano z Corsicanem. I niemielśmy już najmniejszej wątpliwości, że to jest ta sama młoda kobieta. Była to Ellen, którą Harry Drake wiózł z sobą na ziemię Amerykańską, aby podzielała jego życie awanturnicze. Wzrok kapitana błyszczał dzikim ogniem,



na wspomnienie tego nędznika. Ja czułem, że mi nie dobrze na sercu. Lecz cóż mogliśmy poradzić przeciwko niemu — mężowi, panu? Ale najważniejszą było rzeczą zapobiedz nowemu spotkaniu Fabijana z Elleną, gdyż w końcu Fabijan poznał by swą narzeczoną, co by spowodowało katastrofę, której chcieliśmy uniknąć. W każdym razie można się było spodziewać, że te dwie biedne ofiary nie zobaczą się. Nieszczęśliwa Ellen nie pokazywała się w dzień ani w salonach, ani na pokładzie okrętu. W nocy tylko, oszukując zapewne swego dozorcę, przychodziła się kąpać w tem wilgotnem powietrzu i szukać w powiewie wiatru uspokojenia chwilowego! Najpóźniej w dni cztery, „Great Eastern” miał przyplłynąć do portu Nowego Yorku. Mogliśmy więc myśleć, że wypadek nie zniszczy owoców naszego czuwania, i że Fabijan nie będzie wiedział o obecności Elleny podczas podróży po oceanie! Lecz my wydarzeń nie braliśmy w rachubę. Kierunek parostatku zmienił się trochę w ciągu nocy. Okręt znajdując trzy razy wodę na dwadzieścia siedm

stopni Farenheita, to jest o trzy do czterech stopni na termometrze stustopniowym poniżej zera, zwrócił się na południe. Można było być pewnym, że lody znajdowały się bardzo blisko. Rzeczywiście, tego poranku niebo świeciło szczególnie, powietrze było białe, cała północ świeciła silnym odbiciem światła, zapewne sprawionem przez odbicie od kry lodów. Wiatr był ostry, a około godziny dziesiątej drobny śnieg, posypał nagle parostatek białym proszkiem. Później powstała okropna mgła w pośród której dawaliśmy znaki swojej obecności częstym gwizdaniem. Powstał stąd wrzask przeraźliwy, który odstraszał stada mew siedzących na rejach okrętu.

O w pół do jedenastej, kiedy mgła się wzniosła, statek szrubowy, ukazał się na horyzoncie po prawej stronie okrętu Biały wierzchołek jego komina, dawał poznać, że należał do stowarzyszenia Inmana i wiozł wychodźców z Liverpoolu do Nowego Yorku. Ten statek dał nam poznać swoje nazwisko. Był to „City of Limerik”, miał tysiąc pięćset trzydzieści beczek ob-

jętości, a siłę dwustu pięćdziesięciu sześciu koni. Wy płynął z Nowego Yorku w sobotę, a zatem musiał się spóźnić.

Przed śniadaniem niektórzy podróżnicy urządzili pulę, która niemogła nie podobać się tym miłośnikom gier i zakładów. Rezultat tej puli miał być wiadomy dopiero za dni cztery. Była to, jak nazywają „pula sternika”. Wiadomo, że kiedy okręt ma przybić do lądu, sternik wchodzi na pokład. A więc dzielą dwadzieścia cztery godzin dnia i nocy, na czterdzieści ośm pół godzin, lub dziewięćdziesiąt sześć kwadransów stosownie do liczby podróżnych. Każdy z grających składa na stawkę dolara, a traf mu przyznaje jedną z tych półgodzin albo kwadransów. Wygrywającym te czterdzieści ośm lub dziewięćdziesiąt sześć dolarów, jest ten, na czyj kwadrans przypadnie chwila, w której sternik postawi nogę na okręcie. Jak widzimy, gra nie jest zawikłaną. Nie są to wyścigi konne, tylko kwadransowe.

Szanowny Mac Alpine, mieszkaniec Kanady, wziął główny zarząd nad tym interesem.

Łatwo zabrał dziewięćdziesięciu sześciu zakładających się, a między nimi kilka kobiet, i to nie najmniej chciwych gry. Naśladowałem ten zapał i postawiłem dollara. Los mi wyznaczył sześćdziesiąty czwarty kwadrans. Był to zły numer, nie miałem tu sposobu wyjścia z korzyścią. Istotnie ten podział czasu liczy się od południa jednego dnia do południa dnia drugiego. Są więc kwadransy dzienne i kwadransy nocne. Lecz te ostatnie nie mają żadnej wartości w grze, gdyż mało kiedy okręty rezykują się przybijać do lądu wśród ciemności, a zatem sposobność przyjęcia sternika na pokładzie w nocy rzadko się zdarza. Łatwo się przecież pocieszyłem.

Schodząc do salonu, zobaczyłem, że zapowiedziano jakieś czytanie na wieczór. Misyjonarz z Utah ogłaszał konferencyją o Mormo-  
nizmie. Była to dobra sposobność poznania tajemnic „Miasta świętych” z resztą ten *elder* p. Hatch miał być mówcą i to mówcą zawołanym. Wykonanie więc powinno było być godne dzieła. Podróżni przyjęli chętnie ogłoszenie

o tej konferencji. Punkt, w którym byliśmy, wskazywały następujące cyfry:

Szer.  $42^{\circ} 32'$  P.

Dłu.  $51^{\circ} 59'$  Z.

Beg: 254 mil.

Okolo trzeciej po południu, sternicy dali znak zbliżenia się dużego statku o czterech masztach. Okręt ten zmienił trochę swój bieg, aby się zbliżyć do „Great Easternu” w zamiarze poznamienia go ze swem nazwiskiem. Ze swej strony, kapitan kazał nieco zboczyć i wkrótce statek posłał mu swój numer. Była to „Atlanta”, jeden z tych dużych okrętów, które przepływają z Londynu do Nowego Yorku ocierając się o Brest. Witał nas mijając, a myśmy się odwzajemnili. Wkrótce potem, ponieważ płynął w przeciwną stronę, znikł nam.

W tym czasie Dean Pitferge powiedział mi z nieukontentowaniem, że konferencja p. Hatcha została zakazana. Purytanki będące na parowcu nie dozwoliły swym mężom zapoznać się z tajemnicami Mormonizmu!

## XX

O godzinie czwartej niebo dotąd zachmurzone, wypogodziło się. Morze się uspokoiło, okręt się nie kołysał. Można było pomyśleć, że jesteśmy na lądzie stałym. Ta nieruchomość „Great Easternu” podała myśl urządzenia wyścigów. Plac gonitw w Epsom nie byłby przedstawił miejsca lepszego, a co do koni w braku Gladyjatora albo Touque’i mieli je zastąpić Szkoci czystej krwi, którzy przecież warci ich byli. Ten pomysł zaraz się rozgłosił. W tej chwili *sportsmani* przybiegli a widzowie opuścili salony i pokoiki. Pewien angiłk szanowny Mac Karthy, został mianowany komisarzem, a szybkobiegi przedstawili się niezwłocznie. Było tego z pół tuzina majtków, rodzaj centaurów: — zarazem konie i dzokieje, gotowi ubiegać się o wielką nagrodę „Great Easternu”.

Obydwa bulwary tworzyły pole do gonitw, szybkobiegi mieli obiedz trzy razy wokoło okrętu, a tym sposobem robić blisko tysiąc trzysta metrów. To było dostatecznie. Wkrótce trybu-

ny, inaczej mówiąc najwyższe piętro, były wypełnione tłumem widzów uzbrojonych w lornety, a niektórzy z nich wywieszali żagle zielone, zapewne dla zabezpieczenia się od kurzu z oceanu. Powozów brakło, to prawda, ale nie było miejsca dla ustawienia ich w szereg. Kobiety wystrojone cisnęły się głównie na tył okrętu. Widok był zachwycający.

Fabijan, kapitan Corsican, doktor Pitferge i ja, stanęliśmy na najwyższym piętrze z przodu okrętu. To było miejsce że tak powiem, najarystokratyczniejsze. Tu zgromadzili się prawdziwi *gentlemenriders*, przed nami był zatknięty słup, od którego rozpoczynały się i do którego zmierzały wyścigi. Zakłady pomnażały się z zapalem czysto brytańskim. Rezykowano znaczne kwoty, zważając jedynie na powierzchowność ścigających się, których wielkie dzieła nie były przecież jeszcze zapisane w *stud-book*<sup>1</sup>. Z niespokojnością patrzyłem na Harry Drake'a, wtrącającego się do tych przygotowań ze swym zwy-

---

<sup>1</sup>*stud-book* — księga w której się zapisują imiona koni wygrywających na wyścigach (*stud* znaczy stadnina, *book* książka). [przypis tłumacza]

czajnym aplombem, sprzeczącego się, rozprawiającego śmiałym głosem, nie znoszącym zaprzeczenia. Szczęściem Fabijan chociaż włożył kilkanaście franków w ten zakład, wydał się dosyć obojętnym na tę całą wrzawę. Stał on na uboczu z czołem zawsze zmarszczonym, marząc o sprawach ubiegłych.

Pomiędzy wyścigającymi się, dwaj szczególnie zwrócili powszechną uwagę. Jeden szkot z Dundee, nazwiskiem Wilmore, mały, szczupły, żwawy, bez kości, szeroką pierśią, z okiem płonącym, uchodził za jednego z najszczęśliwszych. Drugi dryblas mocno zbudowany Irlandczyk nazwiskiem O’Kelly, długi jak koń wyścigowy, zachwiewał w oczach znawców szale powodzenia Wilmore’a. Uważano że on jeden mógłby trzech prześcignąć; to też i ja, podziękując uprzedzenie ogólne, miałem zarezykować nań kilka dolarów, kiedy mi doktor powiedział:

— Wybieraj pan małego, wierzaj mi. Ten wysoki jest niezdolny.

— Co pan chcesz przez to powiedzieć?



— Chcę powiedzieć — rzekł poważnie doktor — że nie jest on czystej krwi. Może mieć pewną szybkość początkową, lecz niema głównej rzeczy. Mały, przeciwnie, Szkot, jest rasowy. Patrz pan na jego postawę, dobrze wyprostowaną na nogach, na jego pierś wzniesioną. Jest to egzemplarz, który musiał się nie raz wprawiać w bieganiu na miejscu to znaczy, skacząc z jednej nogi na drugą, tak że co najmniej wykonywa dwieście poruszeń na minutę. Zakładaj się o niego, mówię panu, nie będziesz tego żałował.

Poszedłem za radą mego mądrego doktora, i zrobiłem zakład o Wilmore'a, co do innych czterech ścigających się, nie było nawet mowy.

Miejsca zostały wylosowane. Szczęście sprzyjało Irlandczykowi; wyciągnął bowiem miejsce przy sznurku. Sześciu ścigających się stanęło wszeregu, przy słupie. Nie było żadnej obawy o sfalszowanie punktu wyruszenia, co ułatwiało zadanie komisarza. Dano znak. Z okrzykiem rozpoczęły się wyścigi. Zaraz znawcy poznali, że Wilmore i O'Kelly, byli to szybkobiegi

z profesyi. Nie troszcząc się o swoich współzawodników, którzy ich wyprzedzali zadyszani, biegli oni z postawą trochę pochyloną, głową wyprostowaną, z przedramieniem przyciśniętem do mostka, z pięściami lekko wzniesionemi naprzód, poruszającemi się na przemian za każdym postawieniem stopy przeciwnej. Byli zupełnie bez obuwia. Pięty nie dotykały nigdy ziemi, pozostawiały im więc konieczną sprężystość dla utrzymania siły nabytej. Jednem słowem, wszystkie ich poruszenia były z sobą w związku i uzupełniały się nawzajem.

Za drugim obrotem, O'Kelly i Wilmore, ciągle razem, wyprzedzili swoich zadyszanych spółzawodników. Dowodzili do oczywistości prawdy tego pewnika, który mi powiedział doktor:

— Nie nogami się biega, lecz piersią! Kolano — rzecz dobra, lecz płuca lepsza!

Przy przedostatnim obrocie, widzowie okrzykami witali znowu swoich ulubieńców. Ze wszystkich stron powstały zachęcenia, okrzyki i oklaski.

— Mały wygra — rzekł mi Pitferge. — Patrz pan, on nie sapie. Jego współzawodnik jest zziajany.

Wistocie, Wilmore miał twarz spokojną i bladą, O’Kelly dymił jako ognisko z mokrej słomy. Był „pod batem” używając wyrażenia szwargotu sportsmenów. Lecz obadwa trzymali się równej linii. Nakoniec, przebiegli wielki rudedel; przebiegli drzwiczki od maszyny, i przebiegli słup wyścigowy...

— Brawo! brawo! Wilmore! — wołali jedni.

— Brawo! O’Kelly! — odpowiadali inni.

— Wilmore wygrał.

— Nie, gdyż przybiegli „razem”.

Rzeczywiście Wilmore wygrał, lecz zaledwie o jakie pół głowy. Tak zdecydował szanowny Mac Karthy, Jednakże sprzeczka przeciągała się i poszło do wyrazów grubijańskich. Stronnicy Irlandczyka, a szczególnie Harry Drake, utrzymywali, że to było *dead head*<sup>2</sup>, t.j. że

---

<sup>2</sup>*dead head* (ang.) — dosłownie: martwa głowa. [przypis tłumacza]

wyścigi do niczego nie doprowadziły, że trzeba było je powtórzyć.

Lecz w tym właśnie czasie, uniesiony mimowolnym ruchem, Fabijan, zbliżył się do Harry Drake'a, i rzekł mu oziębło:

— Nie masz pan słuszności. Zwycięzca jest majtek szkocki.

Drake powstał porywczo na Fabijana.

— Pan mówisz? — zapytał go głosem groźnym.

— Mówię, że pan nie masz słuszności — odpowiedział spokojnie Fabijan.

— Zapewnie dla tego — odparł Drake — ponieważ zrobiłeś pan zakład za Wilmorem?

— Zrobiłem zakład jak i pan za O'Kelly'm — odrzekł Fabijan. — Przegrałem i płacę.

— Panie — wykrzyknął Drake — czy chcesz mnie uczyć?...

Lecz nie skończył swego wyrażenia. Kapitan Corsican umieścił się między nim a Fabijanem, w chęci przejęcia sprzeczki na siebie. Obszedł się z Drakem cierpko, i ze wzdardą bardzo wyraźną. Jednakże widocznie Drake nie z nim

chciał mieć do czynienia. To też jak tylko Corsican przerwał, Drake założywszy ręce, zwrócił się do Fabijana:

— Panie — rzekł do niego ze złośliwym uśmiechem — więc pan potrzebujesz swoich przyjaciół dla własnej obrony?

Fabijan zbladł. Porwał się na Harry Drake'a. Lecz go wstrzymałem. Z drugiej strony towarzysze owego łotra odprowadzili go; jednak zdążył on spojrzeć mściwie na swego przeciwnika. Kapitan Corsican i ja zeszliśmy się z Fabijanem, który poprzestał na powiedzeniu głosem spokojnym:

— Za pierwszą sposobnością wypoliczkuję tego gbura.

## XXI

W nocy z piątku na sobotę, „Great Eastern”, przepłynął nurt Gulfstream, którego woda głębsza i cieplejsza przerzynała warstwy otaczające. Powierzchnia tego morza, ściśnięta falami Atlantyku, jest nawet trochę wypukła. Jest to

więc prawdziwa rzeka, przepływająca między dwoma płynnymi brzegami, i to jedna z najznaczniejszych na kuli ziemskiej, gdyż Amazonkę albo Missisipi sprowadza do rzędu strumyków. Woda czerpana w nocy podniosła się z dwudziestu siedmiu stopni Farenheita do pięćdziesięciu jeden, co czyni na termometrze stustopniowym dwanaście stopni.

Ten dzień 5 Kwietnia rozpoczął się cudownym wschodem słońca. Długie fale głębin morskich błyszcząły. Wiatr był ciepły południowo-zachodni. Były to pierwsze dni pogodne. To słońce, któreby zazieleniło pola stałego lądu, tutaj wydobyło na wierzch świeże stroje. Węgielacja czasem się opóźnia, moda — nigdy. Wkrótce były na bulwarach liczne grona spacerujących. Tak wyglądają Pola Elizejskie w niedzielę, przy pięknym słońcu majowem. Tego poranku nie widziałem Kapitana Corsicana. Chcąc się dowiedzieć, co się dzieje z Fabijanem, udałem się do jego pokoiku, który się znajdował po lewej stronie dużego salonu. Zapukałem do

drzwi, lecz nikt się nie odezwał. Popchnąłem drzwi. Fabijana nie było.

Wyszedłem więc na pokład. Pomiedzy przechodzącymi się nie spostrzegłam ani swoich przyjaciół ani doktora. Wtedy przyszło mi na myśl poszukać, w jakim miejscu parostatku osadzona była nieszczęśliwa Ellen. Który też ona pokoił zajmowała? Gdzie ją Harry Dreke wtrącił? W jakie ręce powierzono tę nieszczęśliwą którą mąż opuszczał po całych dniach? Zapewnie płatnym staraniom jakiej służącej z okrętu, jakiej obojętnej dozorczyńi chorych? Chciałem się dowiedzieć co się z nią dzieje, nie z próżnej ciekawości, lecz w interesie Elleny i Fabijana, chociażby tylko dla zapobieżenia ich spotkania, którego zawsze obawiać się należało.

Zacząłem swe poszukiwania od pokoiów dużego salonu dla kobiet, i przebiegłem korytarze obydwu pięter, które przedzielają tę część okrętu. Poszukiwanie to było dosyć łatwe, gdyż nazwiska podróżnych napisane na arkuszu papieru, można było przeczytać na drzwiach każdego pokoiku Nie mogłem znaleźć nazwiska

Harry Drake'a; nie zdziwiło mnie to, gdyż człowiek ten zapewne wolał położenie pokoików wystawionych w tyle „Great Easternu”, nad salonami mniej uczęszczanymi. Nie było zresztą co do wygody żadnej różnicy w urządzeniu przodu i tyłu obrębu, gdyż Towarzystwo Wynajmujących przyjęło jedną tylko klasę podróżnych.

Zwróciłem się więc do pokojów jadalnych i przeszedłem z uwagą korytarze poboczne, które przechodziły między dwoma rzędami pokoików. Wszystkie te pokoje były zamieszkane; na wszystkich drzwiach były nazwiska podróżnych a nazwiska Harry Drake'a jeszcze nie znalazłem. Tą razą zdziwiłem się brakiem tego nazwiska; myślałem bowiem, że już obszedłem całe nasze pływające miasto, i nie znalazłem żadnego „cyrkułu” bardziej oddalonego. Zapytałem się więc jednego ze stewardów a ten mnie objaśnił, o czym nie wiedziałem, że jest jeszcze ze sto pokoików z tyłu *dining-rooms*<sup>3</sup>.

— Którędy tam się schodzi? — zapytałem.

---

<sup>3</sup>*dining-rooms* (ang.) — pokoje jadalne. [przypis tłumacza]



— Przez schody łączące się z pokładem, po stronie wielkiego rudla.

— Dobrze, mój przyjacielu. A wiesz ty, który pokój zajmuje pan Harry Drake?

— Nie wiem, panie — odpowiedział mi steward.

Znów wyszedłem na pokład i przybyłem do drzwi, zamykających wskazane schody. Te schody nie prowadziły do obszernych pokojów, lecz do zwyczajnego korytarza przyciemnionego. Po obydwu zaś jego stronach były rzędy pokoiów.

Większa część tych pokoiów była niezamieszka. Przebiegłem ów korytarz i korytarze pobliskie od drzwi do drzwi. Niektóre nazwiska były wypisane na kartach, lecz nazwiska Harry Drake nie znalazłem. Zrobiłem drobiazgowy przegląd tej części mieszkań; bardzo szczegółowo je obejrzałem i miałem już odejść, gdy szmer jakiś nieznaczny doszedł mych uszu. Ten szmer pochodził z korytarza z lewej strony. Zwróciłem się tam. Tępy, które zaledwie dawały się słyszeć, stały się wyrazistszemi. Usły-

szalem jakiś śpiew, skargi, albo raczej strofy rozwlekłe; wyrazów atoli nie mogłem rozróżnić.

Słuchałem. Było śpiew kobiety; lecz w tym głosie niepewnym czuć się dawała boleść okropna. Musiało być śpiew biednej obłąkanej. Przechucie nie mogło mnie mylić. Zbliżyłem się po cichu do pokoiku, który miał numer 775. Było ostatni w tym ciemnym korytarzu, i musiał być oświetlony okienkami zzewnątrz wyciętymi w spodzie „Great Easternu”. Na drzwiach tego pokoiku nie było żadnego nazwiska. Oczywiście Harry Drake nie chciał, aby wiadano, gdzie on trzyma Ellenę.

Głos tej nieszczęśliwej za zbliżeniem dochodził do mnie wyraźnie. Jej śpiew było tylko ciąg wyrazów, kiedy niekiedy przerywany; — coś przyjemnego a zarazem smutnego. Powiedziałbym, że były to strofy dziwnie urywane, jakby je mówiła osoba uśpiona snem magnetycznym.

Chociaż nie miałem sposobu przekonania się, jednak nie wątpiłem, że to śpiew Elleny.

Słuchałem przez kilka minut i miałem już odejść, kiedy usłyszałem, że ktoś idzie korytarzem środkowym. Czyto Harry Drake? W interesie Elleny i Fabijana nie chciałem, aby mię widziano w tem miejscu. Na szczęście, korytarzem mającym dwa rzędy pokoików, mogłem wyjść na pokład niespostrzeżony. Jednakże chciałem wiedzieć, czyje to kroki słyszałem. Dopomogła mi ciemność. Umieściwszy się więc w kącie korytarza, mogłem widzieć, nie będąc widzianym.

Szmer tym czasem ustał. Dziwnym wypadkiem współcześnie z nim ucichł i śpiew Elleny. Czekałem. Wkrótce się rozpoczął, i na nowo skrzypiała podłoga pod naciskiem powolnych kroków. Przechyliłem głowę, i w głębi korytarza, w niepewnem świetle, przechodzącym przez arkady pokoików, poznałem Fabijana.

Tak było mój nieszczęśliwy przyjaciel! Co za instynkt sprowadził go w to miejsce? Czy on wpierw odemnie odkrył schronienie tej młodej kobiety? Nie wiedziałem, co myśleć. Fabijan

zbliżał się wolno, błakając się po przeforsztowaniach, słuchał, idąc jak za nitką, za głosem, co go przyciągał pomimo jego woli i zupełnie nieświadomie. A jednak, zdawało mi się, że śpiew uciszał się za jego zbliżeniem, i że ta nić tak subtelna zerwie się... Fabijan przyszedł blisko pokoiku i stanął.

Jak jego serce musiało bić, słysząc te smutne tony? Jak on cały musiał drżeć! Niepodobna aby on w tym głosie nie znalazł jakiegoś wspomnienia przeszłości!... A jednak nie wiedząc, że jest na okręcie Harry Drake, jak mógł się domyślać obecności Elleny? Nie. To niepodobna; przyciągnęła go tylko zgodność tych chorobliwych tonów z ponurym smutkiem, jaki go dręczył.

Fabijan ciągle słuchał. Co też on zrobi? Czy będzie wołał obłąkanej? A gdyby Ellen nagle się pokazała? Wszystko było niebezpieczeństwem wtem położeniu! Tymczasem, Fabijan przybliżył się jeszcze więcej do drzwi pokoiku. Śpiew,

który ustawał zwolna, nagle ucichł; później dał się słyszeć krzyk przerażający.

Czy Ellen, przez działanie magnetyczne, przeczuła tak blisko siebie tego, którego kochała? Postawa Fabijana była przerażająca. Zdawał się zbierać myśli. Czy miał drzwi wyłamać? Myślałem, że to zrobi i pospieszyłem do niego.

Poznał mnie. Odprowadziłem go. Dał sobą powodować. Później, głosem przytłumionem:

— Czy wiesz, kto jest ta nieszczęśliwa? — zapytał.

— Nie wiem, Fabijanie, nie.

— To obłąkana! — rzekł. — To głos jak z tamtego świata. Lecz ta obłąkana jest do wyleczenia. Czuję, że trochę przywiązania i miłości wyleczyłoby tę biedną kobietę!

— Chodź, Fabijanie — powiedziałem — chodź!

Weszliśmy na pokład. Fabijan nie mówiąc ani słowa więcej, prawie zaraz się oddalił; nie traciłem go jednak z oczu, aż wszedł do swego pokoiku.

## XXII

W krótkce potem spotkałem kapitana. Opowiedziałem mu scenę, której byłem świadkiem. Zauważyliśmy, że to niebezpieczne położenie powiększa się. Gdybyśmy mogli przeszkodzić okropnym następstwom. O! jakże chciałbym przyspieszyć bieg tego „Great Easternu” i przedzielić całym oceanem Harry Drake’a od Fabijana!

Rozchodząc się z kapitanem Corsicanem, umówiliśmy się żeby osuwać więcej jak dotąd nad aktorami tego dramatu, którego rozwiązanie mogło każdej chwili wybuchnąć mimo naszej woli!

Tego dnia, oczekiwano „Australasian” statku towarzystwa Cunard, mającego dwa tysiące siedemset sześćdziesiąt beczek, a służącego na linii z Liverpoolu do New Yorku. Miał wypłynąć z Ameryki w środę rano, a nie mógł się spóźnić. Czatowano nań przy przejściu, lecz on nie przechodził.

Okolo godziny jedenastej podróżnicy angielscy urządzili subskrypcyjã na korzyść ran-

nych na okręcie, z których kilku niemogło jeszcze opuścić miejsca przeznaczonego dla chorych. Między innymi przełożonemu nad ładunkiem, zagrażało chromienie nieuleczone. Lista ta pokryła się podpisami, spowodowawszy poprzednio pewne sprzeczki drobiazgowo, które sprowadziły zamianę wyrazów niezbyt mile brzmiących.

W południe słońce dozwoliło zrobić spostrzeżenia bardzo dokładne:

Dł.  $58^{\circ} 37'$  Z.

Szer.  $41^{\circ} 11' 11''$  P.

Bieg: 257 mil

Mieliśmy oznaczoną szerokość w przybliżeniu jednej sekundy. Młodzi narzeczeni, którzy przyszli przeczytać tę notatkę, zrobili poruszenie nieukontentowania. Istotnie mogli narzekać na parę.

Przed śniadaniem kapitan Anderson, chcąc zrobić rozrywkę swoim podróżnym, znudzonym tak długą podróżą, urządził ćwiczenia gimnastyczne, którymi sam dowodził. Z pięćdzie-

siąt amatorów rozrywki uzbrojonych w kije jak on naśladowali jego ruchy z małpią dokładnością. Ci gimnastycy improwizowani pracowali metodycznie z zaciśniętymi ustami jak żołnierze na paradzie. Na wieczór zapowiedziano nowe *entertainment*. Ja nie poszedłem na nie. Te same zabawy ciągle powtarzane męczyły mnie. Założono drugi dziennik współzawodniczący z „Ocean Time”. Tegoż wieczoru jak się zdaje, oba dzienniki zlały się w jeden. Co do mnie spędziłem pierwsze godziny nocy na pokładzie.

Morze się wznosiło i zapowiadało burzę, chociaż niebo jeszcze było cudowne. Kołysanie okrętu czuć się już dawało. Leżąc na ławce przy rudlu, zachwyciałem się temi konstelacjami, które się roztaczały na firmamencie. Gwiazdy mrowiły się w zenicie, a lubo gołem okiem można ich tylko dostrzedz pięć tysięcy na całej przestrzeni niebieskiej, tego wieczoru zdawało się, że się je liczyło na milijony. Widziałem wlekący się na horyzoncie ogon Pegaza w całej okazałości Zwierzyńca niebieskiego, jak



suknia gwiazdzista królowej w czarodziejskim przedstawieniu. Plejady wznosiły się ku wyzynom nieba, w tym samym czasie co i bliźnięta, które pomimo swego nazwiska, nie wschodzą zaraz jedno zadrukiem, jak bohaterowie bajki. Byk patrzył na mnie swem wielkiem ognistym okiem. U szczytu sklepienia niebios błyszczała Waga, nasza przyszła gwiazda biegunowa, a niedaleko od niej zaokrąglął się ów strumień brylantowy co tworzy koronę północną. Zdawało się przecież, że wszystkie owe konstelacje nieruchome, poruszają się wraz z kołysaniem okrętu, a podczas jego wahanja się widziałem jak wielki maszt zarysowywał łuk dokładnie odznaczony, zaczawszy od Wielkiej Niedźwiedzicy aż do Altairu Orła, gdy tymczasem księżyc zaledwie wynurzał się z wód powierzchni.

## XXIII

Noc była straszna. Parostatek okropnie popychany z boku, kołysał się bezustannie, meble posuwały się z trzaskiem, a stoliki z porcela-

ny rozpoczęły swój taniec hałaśliwy. Wiatr widocznie był chłodniejszy, „Great Eastern” zresztą przepływał owe miejsca obfite w smutne przypadki, gdzie morze jest zawsze niebezpieczne.

O godzinie szóstej zawlokłem się aż do schodów wielkiego rudła. Czepiając się poręczy i korzystając z jednego kołysania na dwa, dostałem się do schodów i przybyłem na pokład. Stamtąd dolałem nie bez trudności aż do najwyższego piętra z przodu okrętu.

Miejsce było puste, jeżeli można tak nazwać miejsce, gdzie się znajdował doktor Pitferge. Ten szanowny człowiek, mocno oparty, stał tyłem do wiatru a nogą prawą obejmował jedną z poręczy. Dał mi znak, abym przyszedł do niego, — znak głową, ma się rozumieć, — gdyż nie mógł rozporządzać rękami, którymi się zabezpieczał od gwałtowności burzy. Za kilka poruszeniami zwinięty w kłębek, dostałem się na miejsce i tam usadowiłem się na sposób doktora.

— A więc! — wykrzyknął — to trwa dalej! Ha! ten „Great Eastern”! Właśnie w chwili

li dopłynięcia, cyklon, prawdziwy cyklon, wyłącznie przeznaczony dla niego!

Doktór wymawiał tylko wyrazy urywane. Wiatr porywał połowę słów jego. Jednak ja go zrozumiałem. Wyraz cyklon, ma swoje znaczenie.

Wiadomo, co to są owe burze obracające się w koło, nazwane *huraganami* na oceanie Indyjskim i na Atlantyckim, *tornadami* na wybrzeżach Afryki, *simunami* w pustyniach, *tyfonami* w morzach Chin, — burze których siła nadzwyczajna może zniszczyć największe okręty.

Otóż „Great Eastern” został porwany przez cyklon. Jak też ten olbrzym będzie mu stawiał opór?

— Spadnie nań nieszczęście — powtarzał Dean Pitferge. — Patrz pan jak on chowa nos w pierze.

Ta marynarska przenośnia wybornie dawała się stosować do położenia parostatku.

Sztuka drzewa z przodu ginęła pod górami wody, które ją uderzały z lewego boku. W od-

daleniu nic nie można było widzieć. Wszystkie oznaki huraganu! O godzinie siódmej burza powstała. Morze stało się okropne. Owe małe pośrednie kołysania się, oznaczające zrównanie wielkich fal, znikły pod naciskiem wiatru. Ocean się wznosił w długie bałwany, których szczyty burzyły się nie do opisania. Z każdą chwilą wysokość fal wzmagala się, „Great Eastern” uderzany niemi, z boku kołysał się okropnie.

— Są tylko dwie rzeczy do wyboru — rzekł mi doktor z powagą marynarza. — Albo obrócić się wprost ku falom, płynąc z wolną parą albo uciekać, nie opierając się temu wzburzone mu morzu! Lecz kapitan Anderson nie zrobi żadnego z tych dwu obrotów.

— Dla czego? — spytałem.

— Ponieważ!... — odpowiedział doktor — ponieważ musi się coś wydarzyć!

Odwróciwszy się, spostrzegłem kapitana, podkomendnego i pierwszego inżyniera, zakapturzonych w swe ceratowe ubrania i trzymających się poręczy. Mgła z fal okrywała ich od

stóp do głowy. Kapitan uśmiechał się według swego zwyczaju. Podkomendny śmiał się, pokazując swe białe zęby na widok kołyszącego się okrętu kiedy zdawało się, że maszty i kominy się zawałają!

Jednakże to postanowienie ten upór kapita-  
tana w walce przeciwko morzu dziwił mnie. O godzinie w pół do ósmej widok oceanu był przerażający. Z przodu bałwany pokrywały okręt okropnie. Patrzałem na ten wzniosły widok, na tę walkę kolosu z falami. Rozumiałem, do pewnego stopnia tę uporczywość „pana, po Bogu” który nie chciał ustąpić. Lecz zapomniałem, że moc morza jest nieograniczona, i że nic nie zdoła mu się oprzeć, co jest ręką ludzką zrobione! rzeczywiście, chociaż tak silny olbrzym wkrótce musiałby uciekać przed burzą.

Niespodziewanie około godziny ósmej nastąpiło uderzenie. Był to ogromny statek morski, który uderzył okręt z lewej strony z przodu.

— To — powiedział mi doktor — to nie proste popchnięcie, to uderzenie pięścią wtwarz.

Rzeczywiście, uderzenie pięścią skaleczyło nas... kawałki drzewa ukazały się na szczytach fal. Czy to część odpadła z naszego ciała, czy też szczątki ciała obcego? Przypatrzwszy się lepiej, zobaczyłem, że uderzenie morza unosiło płótna wywieszane na uroczystości które przecież wznosiły się się pięćdziesiąt stóp ponad powierzchnią fali. „Great Eastern” został wstrząśnięty uderzeniem, lecz płynął dalej, niewzruszony zuchwałością. Trzeba było jak najprędzej uprzątnąć ułamane kawałki, które zasłaniały przód okrętu, i uciekać przed morzem... Lecz parostatek uparł się płynąć przeciwko morzu. Cała zapalczywość kapitana podniecała okręt. Nie chciał ustąpić. I nie ustąpi. Wysłano oficera i kilku ludzi naprzód okrętu, dla oczyszczenia pokładu.

— Uważajmy! — powiedział mi doktor — nieszczęście jest blisko!

Marynarze posunęli się naprzód. My przycisnęliśmy się do drugiego masztu. Patrzyliśmy przez mgły, które biorąc nas ukośnie, rzucały z każdą falą ulewę na pokład. Drugie raptowne

uderzenia morza, gwałtowniejsze od pierwszego, przeszło przez wyłom w parapetach, oderwało ogromną blachę laną, i uderzając z całym zamachem w przepierzenia prawego boku, rozdarło je i uniosło jak kawałki płótna puszczzone na wiatr.

Ludzie zostali przewróceni. Jeden z nich oficer na wpół zalany, otrząsnął swe rude faworyty i podniósł się. Później widząc jakiegoś majtka leżącego bez przytomności, podszedł do niego, wziął na plecy i wyniósł. Było trzy stopy wody w przedziale między dwoma pomostami. Odłamane kawałki znowu pokryły morze, a między niemi kilka tysięcy lalek, które mój spółziomek z ulicy Chapon chciał aklimatyzować w Ameryce!... Wszystkie te małe postacie wyrzucone z paki uderzeniem morza, skakały na grzbietach bałwanów, a ta scena w mniej ważnych okolicznościach byłaby z pewnością do śmiechu pobudziła. Tymczasem woda zalewała nas. Masa płynna wpadała otworami, a napływ morza był tak wielki, że podług doniesienia inżyniera, „Great Eastern” obejmował wte-

dy więcej jak dwa tysiące wody, co było dostatecznym do zatopienia pierwszorzędnej fregaty.

— Doskonale! — mruknął doktor, którego kapelusz wiatr porwał.

W tem położeniu utrzymać się dłużej stało się niepodobieństwem. Walczyć jeszcze przeciwko burzy, byłby to czyn szalonego. Trzeba było zrobić zwrót do ucieczki. Parostatek wystawiający swój przód zapadnięty przeciwko morzu, wyglądałby tak samo jak człowiek, chcący płynąć między dwoma prądami wody z otwartymi ustami.

Kapitan Anderson zrozumiał to wreszcie. Widziałem, jak biegł sam do małego koła przy mostku, które kierowało obrotami rudła. Zaraz para przeszła w cylindry z tyłu belka została obróconą z wiatrem, a kolos kręcąc się jak łódka przodem na północ, uciekał przed burzą.

W tej chwili kapitan, zwykle tak spokojny, umiemyjący zawsze panować nad sobą, wykrzyknął z uniesieniem:

— Mój okręt jest zniestawiony!



## XXIV

Zaledwie „Great Eastern” zmienił kierunek; zaledwie zwrócił się tyłem do fal, zaraz zaprzestał się kołysać. Była to nieruchomość zupełna, następująca po gwałtownej ruchliwości. Podano śniadanie. Większa część pasażerów, zapewnionych spokojnością okrętu, zeszła do jadalnej sali. Można było jeść, nie doznając żadnego poruszenia ani szturchnięcia. Ani jeden talerz nie spadł na ziemię; wszystkie szklanki utrzymywały się na stole. Lecz w trzy kwadransy później, meble rozpoczęły swe gibotanie, wszystko zawieszane bujało w powietrzu, porcelana potrącała się na półkach kredensu. „Great Eastern” rozpoczął swą drogę na zachód, na chwilę przerwana.

Wyszedłem na pokład z doktorem Pitferge. Spotkaliśmy człowieka z lalkami.

— Panie — rzekł do niego doktor — cały ludźka pana okropnie ucierpiał. Otóż i po niewiniątkach, które nie będą mówiły w Stanach Zjednoczonych.

— O! — odpowiedział przemyślny paryżanin — pakunek był ubezpieczony, a mój sekret z nim nie zatonął. Narobimy nowych takich lalek.

Mój spółziomek nie łatwo rozpaczał, jak widać. Ukłonił się nam uprzejmie, a my poszliśmy na tył parostatku. Tam sternik powiedział nam, że łańcuchy od rudła były poplątane w czasie przestanku między dwoma uderzeniami morza.

— Gdyby się ten wypadek zdarzył w czasie obrotów okrętu — powiedział Pitferge — nie wiem co by mogło nastąpić, gdyż woda strumieniem płynęła na okręt. Już pompy parowe rozpoczęły wylewać wodę. Lecz to jeszcze nie koniec.

— Co się zrobiło z tym nieszczęśliwym majtkiem? — zapytałem doktora.

— Niebezpiecznie ranny w głowę. Biedny człowiek! Jest to młody rybak, żonaty, ojciec dwojga dzieci, odbywający pierwszą podróż po morzu. Doktor okrętowy ręczy za jego zdrowie, i to właśnie sprawia, że się oń obawiam.

Zresztą, zobaczymy. Rozeszła się też pogłoska, że kilku ludzi zostało porwanych, ale na wielkie szczęście, jest to fałsz.

— Nakoniec — spytałem — wróciliśmy na naszą drogę?

— Tak — odpowiedział doktor — płyniemy drogą na zachód przeciwko wiatrowi i przyływowi morza. Czuć to można dobrze — dodał, chwytając się haczyka aby nie upaść na pomost. — Wiesz kochany panie, co bym zrobił z „Great Easternu” jeżeli by on do mnie należał? Nie wiesz? Otóż zrobiłbym z niego statek zbyt kowy, po dziesięć tysięcy franków od osoby. Płynęli by na nim tylko milionerzy, ludzie, którzy się nie śpieszą. Przez miesiąc albo sześć tygodni płynąłby z Anglii do Ameryki. Nigdy nie byłoby fali w poprzek. Zawsze wiatr z przodu lub wiatr w tyle. Ale też nie było by żadnych huśtań ani kołysań. Moi podróżni byli by zabezpieczeni przeciwko chorobie morskiej i płaciłbym im po sto franków za znudzenie w podróży.

— Otóż to jest myśl praktyczna — odpowiedziałem.

— A tak! — odparł Dean Pitferge — można by zrobić pieniądze... albo stracić! Tymczasem parostatek odbywał swą drogę zwolna, obracając pięć albo sześć razy koła co najwięcej, tak aby się utrzymać. Kołysanie bałwanów było przerażające, lecz sztuka drzewa z przodu okrętu przerywała fale, normalnie, a „Great Eastern” nie przyjmował żadnego statku morskiego. Nie była to już wcale góra metalowa idąca przeciwko górze wody, lecz skała silna, nie zwracająca uwagi na kołysanie bałwanów. Zresztą deszcz zaczął potokami padać, co nas zmusiło schronić się pod wystawą dużego salonu. Przez tę ulewę ustał wiatr i morze się uspokoiło. Niebo się rozjaśniło na zachodzie i ostatnie wielkie chmury rozeszły się w stronę przeciwną. O godzinie dziesiątej huragan zawiął raz ostatni. O dwunastej można było mniej więcej oznaczyć punkt w którym byliśmy:

Szer. 41° 50' P.

Dł. 61° 57' Z.

Bieg. 193 mil.

To znaczne zmniejszenie w przeliczanej drodze można było przypisać jedynie burzy która podczas nocy i poranku bezustannie uderzała o okręt; burzy tak okropnej, że jeden z podróżnych, — prawdziwy mieszkaniec oceanu który go przepływał po raz czterdziesty, — nie widział podobnej ani razu. Inżynier wyznał nawet, że od czasu owego uraganu, kiedy „Great Eastern” pozostawał przez trzy dni w bałwanach fal, okręt nie był zaatakowany z tak wielką gwałtownością. Lecz trzeba i to dodać, że zadziwiający ten parostatek, jeżeli płynie wolno i kołysze się bardzo, przedstawia w obec nawałnic morskich zupełne bezpieczeństwo. Utrzymuje się jak kloc pełny, a tę wytrwałość swoją zawdzięcza doskonałej jednorodności budowy, podwójnemu dnu i zadziwiającym bokom swego pokładu. Lecz powiedzmy i to także. Choć on jest tak silny nie trzeba go bez powodów wystawiać przeciwko wzburzonemu mo-

rze. Jakkolwiek jest wielki, jakkolwiek silnym się wydaje; okręt nie jest przecież zniesławionym, jeżeli ucieka przed burzą. Dowódca okrętu nie powinien nigdy zapominać, że życie jednego człowieka więcej znaczy niż zadowolenie miłości własnej. W każdym wypadku upierać się przy swoim jest niebezpiecznie, zapędzać się nagannie; a przykład niedawny smutnego wypadku, który się zdarzył na jednym ze statków zaoceańskich, przekonywa, że kapitan nie powinien nad możność walczyć z morzem, chociażby czuł nawet następujący na swe pięty okręt towarzystwa spółzawodniczącego.

## XXV

Pompy tymczasem nie przestawały wyczerpywać tego jeziora, które się utworzyło wewnątrz „Great Easternu”, jak laguna w środku jakiej wyspy. Pompy silnie a szybko działające za pomocą pary, oddawały oceanowi, co do niego należało. Deszcz przestał padać, wiatr był znowu chłodny, niebo oczyszczone burzą, było czy-

ste. Kiedy noc nastąpiła, chodziłem przez kilka godzin po pokładzie. Z salonów przez okienka na wół otwarte, przedzierał się wielki blask światła. Z tyłu okrętu dopóki okiem można było dojrzeć, rozchodził się wir fosforyczny, rysujący się tu i owdzie na szczytach błyszczących fal. Gwiazdy pokazywały się i znikwały jak to zwykle się dzieje w pośród chmur pędzonych silnym wichrem. W około i w oddaleniu rozciągała się noc ciemna i ponura. Przedemną grzmiał stukot kół, a nademną słyhać było brzęk łańcuchów u rudla. Wracając do dużego salonu, zdziwiłem się bardzo, zobaczywszy ogromny tłok widzów. Rozlegały się oklaski. Pomimo nieszczęść dnia tego *entertainment* zwykle rozwijało niespodzianki swego programu. O majtku tak niebezpiecznie rannym, a może umierającym, nie było już nawet mowy. Zabawa, zdawało się, zajmowała wszystkich. Podróżni przyjmowali z wielkimi demonstracjami, występy minstreli na deskach „Great Easternu”. Wiadomo, co to są ci minstrele, śpiewacy wędrujący, czarni albo poczernieni

według potrzeby przebiegający miasta angielskie, dając w nich śmieszne koncerty. Tą razą śpiewacy byli to tylko majtkowie albo usługujący na okręcie wysmarowani szuwaksem. Ubrali się w łachmany, przybrane w guziki z muszli morskich; mieli kornety zrobione z dwu butelek połączonych i drumle złożone z kiszek rozciągniętych na pęcherzu. Te trzpioty, dosyć zresztą, śmieszne, śpiewały piosnki zabawne i prowadziły rozmowę naszpikowaną konceptami niedorzeczności i dwuznacznymi. Dawano im oklaski bez miary, a oni podwajali swe przedrzeźniania i skrzywienia. Wreszcie na zakończenie tancerz jakiś zręczny jak małpa, wykonał podwójny taniec, który zachwycił całe zgromadzenie.

Jakkolwiek zajmującym był program minireli nie zgromadził jednak wszystkich podróżnych. Inni w wielkiej liczbie zapełniali salę z przodu okrętu i cisnęli się w koło stołów. Tam grano na znaczną stawkę. Wygrywający bronili zysku nabytego w ciągu podróży, przegrywający, których czas nagiął, starali się zawładnąć losem



zuchwałem rzucaniem kart. Z sali tej słychać było wielką wrzawę. Dolatywał nas głos bankiera, obwołującego rzuty, złorzeczenie przegrywających, dźwięk złota, szelest dollarów papierowych. Później nastawała głęboka cisza; jakiś śmiały rzut zatrzymywał wrzawę, a kiedy poznano rezultat, okrzyki się zdwajały.

Mało miałem stosunków ze zwykłymi uczestnikami *smoking-room* mam wstręt do gry. Jest to rozrywka zawsze gburowata, a często szkodziwa. Człowiek pasyjonowany do gry zawsze jej podlega; a niepodobieństwem jest, ażeby i inne złe namiętności nie przyłączyły się do niej. Wada ta zawsze pociąga inne za sobą. A trzeba i to jeszcze powiedzieć, że towarzystwo graczy składające się zawsze i wszędzie z różnorodnych osób, nie podoba mi się. Tam panował Harry Drake pośród swoich wiernych. Tam rozpoczynało to życie hazardowne kilku awanturników, udających się po szczęście do Ameryki. Unikałem spotkania się z owymi niepokojnymi ludźmi. Tego wieczora właśnie przechodziłem koło drzwi rudla nie wchodząc tam,

gdy gwałtowne krzyki i wyrazy obelżywe zatrzymały mię. Stałem by się przysłuchać, a po chwilce przestanku, zdawało mi się z wielkiem podziwieniem, że słyszę głos Fabijana. Co on mógł robić w tem miejscu? Czy poszedł tam szukać swego nieprzyjaciela? Katastrofa której dotąd uniknęliśmy, miałaż teraz wybuchnąć?

Żywo drzwi otworzyłem. W tej chwili wrzawa dochodziła do ostateczności. Wśród tłumu graczy zobaczyłem Fabijana. Stał on wyprostowany naprzeciwko Drake'a, który stał także. Zapewnie Harry Drake musiał Fabijana po grubijańsku obrazić, gdyż Fabijan zamierzył się nań ręką i dla tego go nie trafił w twarz, że Corsican zjawił się niespodziewanie i wstrzymał go szybkim ruchem. Lecz Fabijan odwrócił się do swego przeciwnika, i powiedział mu, głosem zimnoszyderczym:

— Uważasz pan ten policzek za otrzymany?

— Tak — odpowiedział Drake — i oto mój bilet!

Pomimo więc naszego czuwania nieuniknione zrzączenie losu, sprowadziło spotkanie tych dwu śmiertelnych nieprzyjaciół. Rozdzielić ich już było za późno. Rzeczy musiały iść swoim porządkiem. Kapitan Corsican spojrział na mnie a ja dostrzegłem w jego oczach większy smutek niż zdziwienie.

Tymczasem Fabijan wziął bilet, który Drake rzucił na stół. Trzymał go w palcach jak przedmiot, z którym niewiadomo co zrobić. Corsican zbladł. Mnie serce biło. Nakoniec Fabijan spojrział na ten bilet. Przeczytał na nim nazwisko. Z piersi jego wydobył się jakby ryk straszny.

— Harry Drake! — wykrzyknął — A więc to pan! To pan!

— Ten sam, kapitanie Mac Elwin — odpowiedział spokojnie przeciwnik Fabijana.

Nie myliliśmy się. Jeżeli Fabijan nie wiedział dotychczas nazwiska Drake'a, to on za to doskonale był poinformowany o obecności Fabijana na „Great Easternie”.

## XXVI

Nazajutrz, z brzaskiem dnia, pobiegłem szukać kapitana Corsicana. Zastałem go w dużym salonie. Przepędził noc przy Fabijanie. Fabijan był okropnie wzruszony ciosem zadany mu przez nazwisko męża Elleny. Czy tajemniczą intuicyją domyślił się, że Drake nie był sam na okręcie? Obecność tego człowieka, czy objaśniała go o obecności Elleny? Nakoniec, czy on odgadł, że ta biedna obląkana, była to ta sama młoda kobieta, którą kochał od lat tylu? Corsican nie mógł o tem wiedzieć, gdyż Fabijan przez całą noc nie mówił ani słowa.

Corsican kochał Fabijana miłością braterską. Od dzieciństwa trwał zawsze w tem usposobieniu niczem się nie zrażając. Był w rozpacz.

— Za późno się w to wdałem — rzekł mi. — Nim Fabijan rękę na niego podniósł, ja powinien był uderzyć w twarz tego nędznika.

— Byłby to gwałt bezskuteczny — odrzekłem. — Harry Drake nie byłby się dał wcią-

gnąć tam, gdzie pan chciałeś. On tylko z Fabijanem chciał mieć do czynienia a katastrofa była nieunikniona.

— Masz pan słuszność — odpowiedział kapitan. — Ten łotr dojrzał zamierzonego celu. On znał Fabijana, całą jego przeszłość, jego miłość. Może Ellen pozbawiona zmysłów, odkryła swe tajemne myśli? A raczej Drake przed ożenieniem nawet dowiedział się może od tej prawej kobiety, o jej życiu młodzieńczem? Popchnięty przez swoje złe skłonności szukał tego zajścia z Fabijanem zostawiając sobie stronę obrazonego. Ten drab wielkim musi być miłośnikiem pojedynków.

— A tak — odpowiedziałem — już miał trzy czy cztery nieszczęśliwe zajścia w tym rodzaju.

— Mój kochany panie — powiedział Corsican — nie pojedynku właściwie lękam się dla Fabijana. Kapitan Mac Elwin jest jednym z tych, których żadne niebezpieczeństwo nie przeraża. Obawiam się tylko następstw tego zajścia. Jeżeli Fabijan zabije tego człowieka, cho-

cięż tak podłego, otworzy się nieprzebyta przepaść pomiędzy Elleną a Fabijanem. Bóg jeden wie ile kobieta potrzebuje takiego wsparcia, jakie Fabijan zapewnić jej może.

— Co prawda — powiedziałem — wbrew wszystkiemu co może z tego wyniknąć, życzyć jednej tylko rzeczy dla Elleny i dla Fabijana powinniśmy, aby Harry Drake poległ, słuszność mamy za sobą.

— Zapewne, lecz trzeba się obawiać i o innych — odparł kapitan — serce mi się rozdziera na myśl, że nie mogłem przeszkodzić temu spotkaniu, choćby z narażeniem życia własnego.

— Kapitanie — rzekłem, ściskając rękę tego poświęcającego się przyjaciela — jeszcze u nas nie byli sekundanci Drake'a. To też choć pod każdym względem masz pan rację, przecież nie rozpaczam jeszcze.

— Czy masz pan jaki sposób przeszkodzić temu spotkaniu?

— Dotąd żadnego. W każdym razie ten pojedynek, jeżeli ma nastąpić, zdaje się, że do-

piero odbędzie się w Ameryce, a nim dopłyniemy, przypadek którego sprowadził to położenie, może je jeszcze pomyślnie zakończy.

Kapitan Corsican, poruszył głową, niewierząc w skuteczność przypadku w rzeczach ludzkich. W tymże czasie Fabijan wszedł na schody wychodzące na pokład. Spojrzałem na niego. Bładość jego uderzyła mnie. Rana zakrwawiona w nim odżyła. Przykrość robił swym widokiem. Poszliśmy za nim. Błąkał się bez celu, przywołując tę biedną duszę na wół unoszącą się ze śmiertelnej powłoki starając się nas uniknąć.

Przyjaźń czasami może być natrętną. To też myśleliśmy z Corsicanem, że lepiej będzie szanując tę jego boleść nieprzeszkadzać mu. Lecz nagle Fabijan zbliżył się, a przyszedłszy do nas:

— To była ona! — zawołał — ta obłąkana? To była Ellen, nieprawdaż? Biedna Ellen!

Wątpił jeszcze i odszedł, nie czekając odpowiedzi, której dać mu nie mielibyśmy odwagi.

## XXVII

O dwunastej Drake jeszcze nie przysłał swoich sekundantów do Fabijana. Jednakże te warunki powinny być dopełnione, jeżeli Drake postanowił żądać natychmiast satysfakcyi. Opóźnienie to mogłoż nam dawać jaką nadzieję?

Wiedziałem dobrze, że plemiona saksońskie inaczej rozumieją sprawy honorowe, i że pojedynki prawie zupełnie znikły z obyczajów angielskich. To też jak powiedziałem, nie tylko prawo jest srogie dla pojedynkujących się, i nie można się z niego wykręcić jak we Francyi, ale co więcej opinija publiczna powstaje przeciwko nim.

Przecież w tej okoliczności, zdarzenie było szczególne. Zajścia widocznie szukano, żądano go. Obrażony prawdę mówiąc, wyzwał tu obrażającego, a moje rozumowania dochodziły zawsze do tego wniosku, że utarczka między Fabijanem a Drakem była nieunikniona.

W tym czasie pokład był zapełniony tłumem spacerujących. Byli to wierni w strojach



świętecznych wracający z kaplicy. Oficerowie, majtkowie i podróżni, zajmowali swe stanowiska, swoje pokoje.

O godzinie w pół do pierwszej ogłoszenie o obserwacji punktu było następujące:

Sze. 40' 33' N.

Dłu. 66' 21' W.

Bie. 214 mil.

„Great Eastern” był tylko o 348 mil od punktu Sandy-Hook, piaszczystego cypla otwierającego wejście do portów Nowego Yorku. Nie zadługo okręt powinien był wpłynąć na wody Ameryki.

W czasie śniadania nie było Fabijana na jego zwykłym miejscu, lecz Drake zajmował swoje. Chociaż hałaśliwy, wydawał mi się ten nędznik niespokojnym. Czy szukał w podniecaniu się winem, zapomnienia wyrzutów sumienia? nie wiem lecz oddał się częstemu spełnianiu puharów w gronie swych zwykłych towarzyszy. Kilkanaście razy spojrzał na mnie z pod oka, nie śmiejąc i nie chcąc mi patrzeć w oczy,

pomimo swej bezczelności. Nie wiem czy szukał Fabijana w ciżbie biesiadników? Tem zwrócił moją uwagę, że raptownie opuścił stół przed skończeniem jedzenia. I ja zaraz wstałem, aby mieć nań baczność, lecz poszedł do swego pokoju i zamknął go. Wyszedłem na pokład. Morze było zachwycające, niebo czyste. Nie było żadnej chmurki na jednym, ani jednej pianki na drugim. Te dwa zwierciadła przesyłały sobie wzajemnie swe odcienia lazuruowe. Doktor Pitferge, którego spotkałem, udzielił mi złych wiadomości o rannym majtku. Stan zdrowia chorego pogorszał się i pomimo zaręczenia lekarza trudno było spodziewać się wyzdrowienia. O godzinie czwartej na kilka minut przed obiadem, dano znak o okręcie z prawej strony. Podkomendny mi powiedział, że to musi być „Citi of Paris” o 5,750 beczek, jeden z najpiękniejszych parostatków stowarzyszenia Jumara; lecz się omylił, statek, zbliżywszy się dał nam poznać swe nazwisko, „Saxonia”, Steam-

-National Company<sup>4</sup>. Przez krótki czas obydwie statki płynęły obok siebie mniej oddalone jeden od drugiego jak o kilkaset sążni. Pokład „Saksonii” był wypełniony podróżnemi, którzy nas witali potrójnym okrzykiem.

O godzinie piątej nowy statek pokazał się na horyzoncie, lecz zanadto był daleko, aby można było widzieć jego narodowość. Był to zapewne „City of Paris”. Bardzo są pociągające te spotkania okrętów, ci goście Atlantyku którzy się witają w przejeździe! Istotnie łatwo zrozumieć, że niepodobna, aby panowała obojętność między jednym okrętem a drugim. Wspólne niebezpieczeństwa ze strony żywiołu są węzłem łączącym nawet nieznajomych. O godzinie szóstej znów płynął trzeci okręt „Philadelphia” z linii Jumana, wyłącznie przeznaczony do przewożenia emigrantów z Liverpoolu do Nowego Yorku. Oczywiście płynęliśmy przez morza uczęszczane, a ląd musiał być blisko. Chciałbym być już do niego dopłynąć.

---

<sup>4</sup>*Steam-National Company* — Narodowe Towarzystwo Żeglugi Parowej.  
[przypis tłumacza]

Oczekiwano także okrętu „Europa”, statku morskiego o kołach, objętości 3,200 beczek a sile 1300 koni. Ten parostatek należy do towarzystwa zaatlantyckiego, i przewozi podróżnych pomiędzy Hawrem a Nowym Yorkiem, lecz nie dał o sobie żadnego znaku. Musiał popłynąć więcej na północ.

Noc nastąpiła około w pół do ósmej. Księżyc na nowiu wydobył się z promieni zachodzącego słońca i był jakiś czas na horyzoncie. Czytanie religijne, przez kapitana Andersona przeplatane śpiewami, przeciągnęło się do godziny dziewiątej wieczór.

Dzień się skończył a sekundanci Harry Drake’a nie przyszli do kapitana Corsicana ani do mnie.

## XXVIII

Nazajutrz w poniedziałek 8 kwietnia dzień był przecudowny. Słońce od samego wschodu było jaśniejące. Na pokładzie spotkałem doktora. Powiedział mi:

— Otóż tedy! umarł nasz biedny ranny, umarł w nocy. Lekarze zaręczali, że wyzdrowieje!... Oh! lekarze! Oni nie wątpią nigdy! Oto już czwarty towarzysz podróży opuszcza nas od Liverpoolu, czwarty oddający dług „Great Easternowi” a podróż jeszcze nieskończona!

— Biedak! — odparłem — skonał w chwili przybycia do miejsca i widząc prawie wybrzeża Amerykańskie. Cóż się stanie z jego żoną i małymi dziećmi?

— Co pan chcesz — odpowiedział mi doktor — takie to już prawo! Trzeba przecież umierać! Trzeba przecież usunąć się dla tych, co przychodzą! Umiera się podług mego zdania, aby zrobić miejsce innemu, który ma do niego prawo! A wiesz pan, wielu ludzi umrze, podczas mego istnienia, jeżeli będę żył lat sześćdziesiąt?

— Nie domyślam się doktorze.

— Rachunek bardzo prosty — odparł Dean Pitferge. — Jeżeli będę żył sześćdziesiąt lat, przeżyję dwadzieścia jeden tysięcy dziewięćset dni czyli trzydzieści jeden milionów pięć kroć trzydzieści sześć tysięcy minut, czyli na koniec

bilijon osiemset osiemdziesiąt dwa milijony sto sześćdziesiąt tysięcy sekund. Okrągłą liczbą dwa bilijony sekund. Otóż przez ten czas umrze właśnie dwa bilijony osób, które będą zawadzać następcom, i ja pójdę z kolei, kiedy będę zawadzał. Cała rzecz w tem, żeby jak najdłużej nie zawadzać.

Dowodził o tem doktor przez jakiś czas, chcąc mnie przekonać o rzeczy łatwej do zrozumienia, że wszyscy jesteśmy śmiertelni. Nie widziałem potrzeby z nim się spierać. Chodziliśmy: on mówił, ja słuchałem; widziałem cieśłów okrętowych którzy zajmowali się naprawą przeforsztowań zapadniętych z przodu okrętu wskutek podwójnego uderzenia morza. Jeżeli kapitan Anderson ze swemi uszkodzeniami w okręcie nie chciał przybyć do Nowego Yorku, cieśle musieli się spieszyć, gdyż „Great Eastern” płynął bardzo prędko na tych wodach spokojnych, zdaje mi się nawet, że nigdy nie płynął tak szybko. Zmiarkowałem to po wrażeniu dwojga narzeczonych, którzy oparciu o balustradę, nie rachowali już obrotów kół. Koła

obracały się wtenczas jedenaście razy na minutę, a parostatek płynął pewnie ze trzynaście mil na godzinę.

O godzinie dwunastej oficerowie poszli oznaczyć miejsce w którym byliśmy. Doskonale wiedzieli położenie przez obrachowanie codzienne, i u krotce miał pokazać się ląd.

Gdy po śniadaniu przechadzałem się kapitan Corsican przyszedł do mnie. Miał mi coś powiedzieć. Widziałem to po jego stroskanej twarzy.

— U Fabijana — powiedział mi — byli sekundanci Drake'a. Mnie mówił, abym był jego sekundantem, i pana prosi, abyś także był obecnym tej rozprawie. Czy może na pana liczyć?

— Tak kapitanie. Więc cała nadzieja stracona, oddalenie lub zapobieżenie tej rozprawie jest niemożliwe?

— Nie ma nadziei.

— Lecz powiedz mi pan, z czego ta kłótnia powstała.

— Sprzeczka o grę była tylko pozorem nic innego. W rzeczywistości jeżeli Fabijan nie znał Drake'a, Drake go znał doskonale. Nazwisko Fabijana jest zgryzotą sumienia dla Drake'a, to też on chce zabić to nazwisko, razem z człowiekiem który je nosi.

— Kogo ma za sekundantów Harry Drake?  
— spytałem.

— Jeden — odpowiedział Corsican — jest ten dowcipniś...

— Doktor T...?

— Ten sam. Drugi jest Yankes, którego nie znam.

— Kiedyż mają przyjść do pana?

— Tu ich oczekuję.

W istocie w krótkce spostrzegłem obudwu sekundantów Harry Drake'a, idących do nas. Doktor T... napuszył się. Zdawało mu się, że podrósł na dwadzieścia łokci, zapewne dla tego, że był reprezentantem łotra. Jego towarzysz, inny współbiesiadnik Drake'a był to jeden z tych handlarzy filozofów, którzy zawsze i wszystkim handlują, cokolwiek byś mu przed-



stawił do kupienia. Doktor T... rozpoczął rozmowę, zrobiwszy napuszony ukłon, na którego kapitan Coreican zaledwie się odkłonił.

— Panowie — rzekł doktor T... głosem uroczystym — nasz przyjaciel Drake, człowiek, którego zasługi wszyscy cenić mogą, przysłał nas do panów dla rozmówienia się w sprawie drażliwej. To znaczy, że kapitan Fabijan Mac Elwin, do którego tylko co chodziliśmy, wyznaczył panów obydwu „jako swoich przedstawicieli w tej sprawie”. Myślę więc, że porozumiemy się, jak przystało ludziom dobrze wychowanym mówiąc o rzeczy drażliwej naszego poselstwa.

Nie odpowiedzieliśmy nic tym osobistościom pozwalając im gmatwać się w swej „drażliwości”.

— Panowie — rozpoczął na nowo — niezaprzeczenie cała wina jest ze strony kapita-  
na Mac Elwina. Ten pan a nawet bez powodu, obraził godność Harry Drake’a w przedmiocie gry; później bez żadnej zaczepki, zrobił

Drakowi największą zniewagę, jaka człowieka porządnego spotkać może...

Ta cała frazeologija słodziuchna zniecierpliwiła kapitana Corsicana, który przygryzał usta. Nie mógł dłużej wytrzymać.

— Przystąpmy do rzeczy — powiedział gwałtownie doktorowi T... który wszczął rozmowę. — Po co tak dużo mówić? Sprawa jest bardzo prosta. Kapitan Mac Elwin, podniósł rękę na pana Drake'a. Jest obrażony. Wymaga satysfakcyi. Ma wybór broni, cóż więcej?

— Czy kapitan Mac Elwin przystaje?... — zapytał doktor, zmięszany tonem Corsicana.

— Przystaje na wszystko.

— Nasz przyjaciel Harry Drake wybiera broń.

— Dobrze. Gdzie będzie pojedynek? W Nowym Yorku?

— Nie, tutaj na okręcie.

— Dobrze, na okręcie, zaraz, jeżeli panu o to idzie. Kiedy? Jutro rano?

— Dziś wieczór, o szóstej z tyłu okrętu przy wielkiem radiu, który w tym czasie będzie pusty.

— To dobrze.

To powiedziawszy kapitan Corsican, biorąc mnie pod rękę, odwrócił się od doktora T...

## XXIX

Przeszkodzić już nie można było rozstrzygnięciu tej sprawy. Było tylko kilka godzin, do czasu, w którym się mieli obydwaj przeciwnicy spotkać. Skąd pochodził ten pospiech! Dlaczego Harry Drake nie czekał, aż wysiądą z okrętu? Czy ten okręt, wynajęty przez towarzystwo francuskie zdawał mu się stanowiskiem więcej pomyślnem, do tego spotkania, które miało być pojedynkiem śmiertelnym. Pewniej może Drake miał skryte wyrachowanie pozbyć się Fabijana, zanim ten postawi nogę na lądzie amerykańskim, i zacznie podejrzewać obecność Ellen na okręcie, o czem jak sądził Drake nikt nic wiedział? Rzeczywiście tak być musiało.

— Mniejsza o to, już po wszystkim — rzekł kapitan Corsican, lepiej prędzej skończyć.

— Czy mam prosić doktora Pitferge'a aby był obecny przy pojedynku jako lekarz?

— Dobrze, poproś pan.

Corsican poszedł do Fabijana. W tej chwili dało się słyszeć uderzenie dzwonu. Zapytałem sternika, co znaczyło to niezwykle dzwonięcie. Odpowiedział mi, że dzwonią pochowanie majtka, który zmarł w nocy. Rzeczywiście ten smutny obrzęd miał się dopełnić. Pogoda dotąd tak piękna zaczęła się zmieniać. Wielkie chmury zbierały się na południe. Na odgłos dzwonu, podróżni zaczęli się tłumnie zgromadzać na prawym boku okrętu. Oficerowie, majtkowie, palacze, którzy nie byli na służbie, przyszli na pokład.

O godzinie drugiej, grono marynarzy wyszło z pokoju chorych, i minęło machiną rudła.

Ciało umarłego majtka, zaszyte w płótno z kulą uwiązaną do nóg, niosło na desce czterech ludzi. Ten umarły przykryty był flagą brytańską. Za niosącymi szli przyjaciele umarłego,

postępowali zwolna wśród otaczających, którzy się ustępowali, aby ich przepuścić.

Przyszedłszy na tył koła prawego boku, orszak się zatrzymał; ciało postawiono na placyku którym kończą się schody na wysokości pokładu. Na przodzie tego szpaleru patrzących stał kapitan Arderson w paradnym ubraniu i jego główniejsi oficerowie. Kapitan trzymał w ręku książkę do nabożeństwa. Zdjął kapelusz i przez kilka minut wśród głębokiej ciszy, której nawet fale nie przerywały, czytał głosem donośnym modlitwę za umarłych. W tej atmosferze ciężkiej, pochmurnej, cichej, bez najmniejszego wiatru każde słowo można było słyszeć wyraźnie. Kilku podróżnych powtarzało za nim cichym głosem.

Za danym przez kapitana znakiem, ciało wzniesiono do góry, i spuszczone do morza. Chwilkę płynęło po wierzchu, wyprostowało się, później znikło w kręgu piany.

W tym samym czasie majtek ze straży zawołał:

— Ziemia!

## XXX

Ta ziemia, zapowiedziana w chwili kiedy morze zabierało ciało biednego majtka, była żółta i piaszczysta. Było to pasmo wzgórz piaszczystych zwanych Long Island (wyspa długa), wielka ła-  
wa piasku, ożywiona przez wegetacją, która pokrywa wybrzeże Amerykańskie, od Montauk aż do Brooklyn, który należy do Nowego Yorku. Liczne dwumasztowe statki żeglugi pobrzeżnej krążyły około tej wyspy okrytej willami i domkami dla rozrywki. Jestto okolica ulubiona przez mieszkańców Nowego Yorku.

Każdy z podróżnych przywitał ręką tę ziemię tak pożądaną, po zbyt długiej podróży, nie bez przykrych wypadków. Wszystkie lornetki zwróciły się na ten kawałek lądu Amerykańskiego, a każdy chciał go widzieć innemi oczyma, stosownie do swoich smutków lub pragnień. Jankesi witali ją jak matkę ojczyznę. Południowcy z pewną pogardą patrzyli na tę ziemię północy, z pogardą zwyciężonego dla zwycięzcy.

Kanadyjczycy patrzyli na nią jak ludzie, którzy mają jeden krok postąpić a zostaną obywatelami Stanów Zjednoczonych. Mieszkańcy Kalifornii przebywając te wszystkie równiny Far-Westu i zostawiając za sobą Góry Skaliste sądzili że już stają w swoich nieprzebranych kopalniach. Mormoni, z czołem dumnym, ustami pogardliwie wykrzywionymi nie zwracali prawie uwagi na te wybrzeża, i patrzyli dalej, w stronę swej puszczy niedostępnej, w stronę Jeziora Słonego i Miasta Świętych. Co do młodych narzeczonych, ląd ten był dla nich ziemią Obiecaną.

Niebo tymczasem chmurzyło się coraz bardziej. Cały horyzont południowy był zasłonięty. Ogromne pasmo chmur dochodziło do zenitu. Ciężkość powietrza zwiększała się. Upał duszący przenikał powietrze, jak gdyby słońce lipcowe żarem je swoim spaliło. Czy jeszcze nie koniec wypadkom w tej podróży wieki trwającej?

— Chcesz pan abym cię zadziwił? — powiedział mi doktor Pitferge, który się do mnie przybliżył.

— Zadziwiaj doktorze.

— A więc, będziemy mieli burzę, może nawałnicę przed końcem dnia.

— Burzę w kwietniu! — wykrzyknąłem.

— „Great Eastern” drwi sobie z pory roku — dodał Dean Pitferge, wzruszając ramionami. — Ta burza wyłącznie dla niego. Widzisz pan te chmury przerażające które zakrywają niebo. Podobne są do zwierząt z geologicznych czasów; niezadługo one się pozjadają.

— Przyznaję — odrzekłem — że widnokrąg jest groźny. Z pozoru grozi on burzą; tak za trzy miesiące byłbym pańskiego zdania, kochany doktorze, lecz nie dziś.

— Powtarzam panu — odpowiedział Dean Pitferge wpadając w zapał — że za kilka godzin burza powstanie. Ja to czuję, jak *storm-glass*<sup>5</sup> patrz pan na te wyziewy, które się zbierają na wysokościach nieba. Uważaj pan te drobne chmur-

---

<sup>5</sup>*storm-glass* — barometr. [przypis tłumacza]



ki, które się zbierają w jedną wielką, i na kółka zgęszczone które ściskają horyzont. Wkrótce wyziewy szybko się zgęszczą a stąd wytworzy się elektryczność. Zresztą barometr opadł raptownie na siedemset dwadzieścia jeden milimetrów, i wiatrami panującymi są południowo-zachodnie, jedyne co wywołują burzę w zimie.

— Twoje spostrzeżenia doktorze mogą być prawdziwe — odpowiedziałam niedowierzająco. — Ale przecież kto widział, żeby powstała burza wtym czasie i pod tą szerokością geograficzną?

— Wzmiankują o nich panie, wzmiankują w rocznikach. Często się zdarzają burze wśród zimy nie bardzo mroźnej. Trzeba było panu żyć w 1172 albo przynajmniej w 1824, w pierwszym byłbyś Pan słyszał grzmoty w lutym a w drugim w grudniu. W 1837 w styczniu piorun uderzył blisko Drammem w Norwegii i sprawił wielkie zniszczenie, a roku zeszłego na kanale La Manche w lutym statki rybackie z Tréport zniszczył

piorun. Gdybym miał czas przeczytać statystykę to bym pana zasypał faktami.

— Wreszcie kiedy tak chcesz, doktorze... Wkrótce się przekonamy. Nie boisz się pan grzmotów przynajmniej?

— Ja! — odrzekł doktor. — Piorun, to mój przyjaciel. Więcej nawet, to mój lekarz.

— Pański lekarz?

— Z pewnością. Jak mnie pan widzisz byłem rażony piorunem w łóżku, 12 lipca 1867 w Kiew blisko Londynu, i piorun mnie wyleczył z paraliżu w prawym ramieniu; na co nie było żadnych środków lekarskich!

— Żartujesz pan!

— Bynajmniej. Jestto kuracja ekonomiczna, kuracja za pomocą elektryczności. Mój kochany panie, są inne wypadki wiarogodne, które przekonywają, że piorun zastępuje najslawniejszych doktorów i jego interwencja jest istotnie cudowną w chorobach trudnych do wyleczenia.

— Jakkolwiek bądź, mało miałbym zaufania do pańskiego lekarza — rzekłem — i dobrowolnie nie prosiłbym go o poradę!

— Dla tego, żeś go pan nie widział. Pozwól pan, przypomniałem sobie jeden dowód. W 1817 w Connecticut, wieśniak chorujący na astmę uważaną za niepodobną do wyleczenia, został rażony piorunem w polu i zupełnie wyzdrowiał. Było to uderzenie piorunu pektoralne!

— Doprawdy doktor gotów był zamienić piorun w pigułki.

— Śmieję się, nieświadomy, śmieję się pan! Stanowczo o niczem pan nie wiesz, ani co do czasu ani co do medycyny!

## XXXI

Dean Pitferge odszedł. Ja zostałem na pokładzie, patrząc czy będzie burza. Fabijan siedział w swoim pokoju zamknięty z Corsicanem. Zapewnie Fabijan robił jakie rozporządzenie na wypadek nieszczęścia. Dopiero teraz przypo-

mniałem sobie że ma siostrę w Nowym Yorku, i zadrzałem na tę myśl, że może jej przywieziemy wiadomość o śmierci brata, którego oczekiwała. Chciałem się widzieć z Fabijanem, lecz pomyślałem, że lepiej będzie nieprzeszkadzać ani jemu ani Corsicanowi. O godzinie czwartej, zobaczyliśmy ziemię wzdłuż wybrzeża Long Island. Wszystkich wzrok zwrócił się ku wybrzeżu, które odległe było od nas około sześciu mil na północ. Oczekiwano chwili, kiedy przybycie sternika rozstrzygnie wielką wygraną z puli. Rozumie się, że posiadacze kwadransów nocnych — w których rzędzie i ja byłem — stracili całkiem nadzieję, i że kwandranse dzienne wyjąwszy tych, które zawierały się pomiędzy godziną czwartą a szóstą również nie miały szansy powodzenia. Przed nocą sternik przybędzie na okręt i zakład się skończy. Całe więc zajęcie skupiało się na siedmiu czy ośmiu osobach, którym trafem wypadły najbliższe kwandranse, to też korzystały one ze szczęśliwego losu sprzedając, kupując i odprzedając powodzenie z prawdziwym szalem. Zdawało się, że

jesteśmy w *Royal-Exchange* w Londynie. O godzinie czwartej minut szesnaście, oznajmiono z prawego boku okrętu mały statek płynący do nas. Nie było wątpliwości, że to płynął sternik. Powinien był przybyć na okręt najpóźniej w piętnaście minut.

Walka tedy toczyła się już teraz o drugi, trzeci kwadrans pomiędzy czwartą i piątą godziną wieczorem. To też targ rozpoczął się na nowo z podwójnym zapalem. Potem nastąpiły szalone zakłady, nawet o samego sternika, których treść wiernie tu podaję.

— Dziesięć dolarów, że sternik jest żonaty.

— Dwadzieścia dolarów, że wdowiec.

— Trzydzieści dolarów, że nosi wąsy.

— Pięćdziesiąt dolarów, że ma faworyty rude.

— Sześćdziesiąt dolarów, że ma brodawkę na nosie.

— Sto dolarów, że prawą nogę w pierw postawi na okręcie.

— Będzie miał fajkę w ustach.

— Nie? cygaro!

— Nie! Tak! Nie!

I było jeszcze dwudziestu innych amatorów tyleż niedorzecznych, którzy znaleźli jeszcze niedorzeczniejszych, co chcieli z nimi dotrzymać zakładów.

Mały statek przez ten czas widocznie zbliżał się do parostatku. Można było widzieć jego skład kształtny, dosyć podniesiony z przodu, i wydłużone sklepienie, które dawało mu pozór jachtu stojącego do rozrywki. Zachwycające są i trwałe, te statki sternickie od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu beczek obejmujące dobrze zbudowane żeby mogły stawiać opór morzu. Moznaby na tych jachtach, przepłynąć w kółko świat; więcej są one warte niż małe statki portugalskie Magemana. Ten statek, zręcznie się przechylając płynął po wierzchu, pomimo bałwanów, które zaczęły się wznosić. Zagle jego odznaczały się białą na czarnem tle nieba. Morze pieniało się pod jego przejściem. Przy płynąwszy na dwieście czterdzieści sążni do „Great Easternu”, odwrócił się raptownie i spu-

ścił swą łódkę na morze. Kapitan Anderson kazał się wstrzymać, i pierwszy raz od czternastu dni, koła i śruba zatrzymały się. Jakiś człowiek wszedł do łódki galjoty. Czterech majtków płynęło do parostatku. Zrzucano drabinkę sznurową na bok kotosu, przy którym stanęła „łupina orzechowa” sternika. Ten uchwycił drabinkę, wdrapał się zręcznie i skoczył na pokład, przyjęli go okrzykami radości wygrywający, a niezadowoleni przegrywający, a pula uregulowaną została na danych następujących:

Sternik był żonaty.

Nie miał brodawki.

Nosił błęd wąsy.

Obydwoma nogami razem skoczył.

Nakoniec stanął na pokładzie „Great Easter-nu” o godzinie czwartej trzydzieści sześć minut.

Posiadacz więc dwudziestego trzeciego kwadransa wygrywał dziewięćdziesiąt sześć dolarów. Był nim kapitan Corsican, który zupełnie nie myślał o tej niespodziewanej wygranej. Wkrótce wyszedł on na pokład i kiedy mu oddawano wygrany zakład, prosił kapitana An-

derosona, aby to zachował dla wdowy po młodym majtku tak nieszczęśliwie zabitym uderzeniem morza. Komendant, nic nie mówiąc, ścisnął go za rękę. W chwilę potem, jakiś marynarz przyszedł do Corsicana i kłaniając mu się z pewną porywcznością: „Panie — rzekł — moi koledzy przysyłają mię, ażeby powiedzieć panu, żeś uczciwy człowiek. Wszyscy panu dziękują w imieniu biednego Wilson, który nie może sam podziękować”.

Kapitan Corsican, wzruszony uścisnął rękę majtka.

Co do sternika, byłto człowiek szczupły nie miał miny marynarza, nosił kaszkiet ceratowy, spodnie czarne, surdut bronzowy z podszewką czerwoną i parasol. Był on teraz panem na okręcie.

Wskoczywszy na pokład, nim wszedł na kładkę, rzucił plikę dzienników, do których podróźni rzucili się z chciwością. Były to wiadomości z Europy i Ameryki. Byłto węzeł polityczny i prywatny, zawiązujący się pomiędzy „Great Easternem” i obu lądami.



## XXXII

Nastąpiła burza. Walka żywiołów miała się rozpocząć. Grube sklepienie chmur, o barwie jednostajnej, zaokrągliło się nad nami. Atmosfera przyciemniona wyglądała jakby zpod zasłony. Natura widocznie chciała usprawiedliwić domysły doktora Pitferge'a. Parostatek zwolnił bieg, koła obracały się tylko trzy czy cztery razy na minutę. Przez klapy w górę otwarte wydobywały się kłęby białej pary. Łańcuchy kotwic były przygotowane. Kapitan Anderson wydał wszystkie rozporządzenia do zarzucenia kotwicy. Z góry wzniesienia z prawego boku okrętu, sternik ręką dawał znaki, jakie obroty miał wykonywać w wązkich przejściach. Lecz odpływ morza już się rozpoczął, przerwą więc która podzieliła ujście Hudsonu „Great Eastern” nie mógł przepłynąć. Przymuszeni byliśmy czekać przyprywu morza do drugiego dnia. Jeszcze jeden dzień!

O trzy kwadransy na piątą, za rozkazem sternika, kotwice zostały zapuszczone. Łańcuchy spadały z trzaskiem podobnym do grzmo-

tów. Myślałem nawet przez jakiś czas, że rozpoczyna się burza. Gdy kotwice zaczepiły o piasek, parostatek obrócił się popchnięty odpływem morza i stanął nieruchomy. Ani jedna fala nie wzburzała morza, „Great Eastern” wyglądał teraz jak wysepka.

W tej chwili trąbka dała się słyszeć po raz ostatni. Zwoływała ona podróżnych na obiad pożegnalny. Stowarzyszenie wynajmujących miało częstować szampanem swoich gości. Każdy chciał stanąć na wezwanie. W kwadrans później, sale wypełniały się biesiadnikami a pokład opustoszał.

Siedem osób tylko miało zostawić swe miejsce niezajętem dwu przeciwników, których życie miało się w pojedynku rozegrać, czterech sekundantów i doktor, którzy mieli im towarzyszyć. Godzina tego spotkania dobrze była wybrana. I miejsce walki również, nikogo na pokładzie. Pasażerowie zeszli do *dining-rooms*<sup>6</sup>, majtkowie na swe stanowisko, oficerowie, do swoich pokojów osobnych. Nie było żadnego

---

<sup>6</sup>*dining-rooms* (ang.) — jadalnie. [przypis tłumacza]

sternika przy rudlu z tyłu parostatek stał nieruchomie na swych kotwicach.

O dziesięć minut na szóstą, ja z doktorem zeszliśmy się z Fabijanem i kapitanem Corsicanem. Nie widziałem Fabijana od owej sceny przy grze. Wydał mi się smutnym, lecz bardzo spokojnym. To spotkanie zdawało się go nie obchodzić. Myśli jego błąkały się gdzieindziej a spojrzeniem niespokojnym, szukały ciągle Elleny. Poprzestał na uściśnieniu mi ręki nie mówiąc ani słowa.

— Stary Drake jeszcze nie przyszedł? — zapytał mnie kapitan Corsican.

— Nie jeszcze — odpowiedziałem.

— Chodźmy na tył okrętu. Tam jest miejsce spotkania.

Fabijan, kapitan Corsican i ja, poszliśmy do wielkiego rudla. Niebo się pochmurzyło. Przytłumione grzmoty toczyły się na horyzoncie. Były one jakby basem wtórującym przy którym wyrwały się głośnie wiwaty, dające się słyszeć z salonów. Błyskawice oddalone przerzy-

nały gęste sklepienie chmur. Elektryczność gwałtownie zebrana, zasyciła powietrze.

O dwadzieścia minut na szóstą przyszedł Harry Drake ze swemi dwoma sekundantami. Ci panowie ukłonili się, a ich ukłon został im dokładnie oddany. Drake nie wymówił ani słowa. Twarz jego wyrażała jednak, źle powściągnięte rozdrażnienie. Patrzył na Fabijana wzrokiem nienawiści. Fabijan oparty o okno, nawet go nie widział. Zatopił się w głębokim zamyśleniu, i zdawał się nie myśleć jeszcze o roli, którą miał odegrać w tym dramacie.

Tymczasem kapitan Corsican, zwracając się do Jankesa, jednego z sekundantów Drake'a zapytał go o broń. On pokazał mu ją. Były to szpady wojenne, z rękojeścią pełną zasłaniającą całkiem rękę, która je trzyma. Corsican wziął je, nagiął, przemierzył, i dał wybrać jedną Jankesowi. Harry Drake w czasie tych przygotowań, zrzucił kapelusz, zdjął ubranie, rozpiął koszulę; zawinął rękawy potem schwycił broń. Zobaczyłem wtedy, że był mańkutem. Korzyść

dla niego niezaprzeczone, jako dla przyzwyczajonego strzelać się z władającymi prawą ręką.

Fabijan nie odszedł jeszcze ze swego miejsca, zdawało się, że te przygotowania nie jego się tyczyły. Przybliżył się do niego kapitan Corsican, trącił go ręką, i pokazał szpadę. Fabijan spojrział na to błyszczące żelazo, i zdawało się, że wtenczas wszystko mu przyszło na myśl.

Wziął broń pewną ręką:

— A prawda — poszepnął. — Przypominam sobie!

I stanął naprzeciwko Harry-Drake'a, który zaraz przybrał postawę obronną. W tej przestrzeni ścieśnionej wpaść odrazu było prawie niepodobieństwem, trzeba było bić się na miejscu.

— Zaczynajcie, panowie — rzekł kapitan Corsican.

Zaraz broń zmierzyli. Od pierwszego starcia żelaza, kilka raptownych uderzeń z tej i tamtej strony, niektórych złożzeń się i odpierań przekonalem się, że Fabijan i Drake byli prawie jednakowej siły. Wnosiłem dobrze o Fabija-

nie, zachowywał krew zimną, był panem siebie, bez złości, obojętny prawie na wypadek walki, z pewnością mniej wzruszony jak jego sekundanci. Harry Drake przeciwnie, na Fabijana patrzył okiem rozognionem, zęby mu było widać z pod ust na wpół otwartych, głowę ukrył w ramionach, cała jego fizyjonomija przedstawiała nienawiść gwałtowną, która nie dozwalała mu zachować zimnej krwi. Przyszedł zabijać, i chciał zabić.

Po pierwszym starciu, które trwało kilka minut, znizyli szpady. Żaden z przeciwników nie był dotknięty. Małe draśnięcie dawało się widzieć na rękawie Fabijana. Odpoczywali a Drake obcierał twarz, zlaną potem.

W tem czasie burza powstała z całą gwałtowną wściekłością. Grzmoty nie ustawały, okropne trzaskanie piorunów co chwila wstrząsało powietrze. Elektryczność rozwinęła się z taką siłą, że szpady ozdobiły się obwódką błyszczącą, jak konduktorzy wśród chmur burzą ciężar-nych.

Po chwili wypoczynku kapitan Corsican znowu dał znak do utarczki. Fabijan i Drake stanęli w postawach obronnych.

Ta utarczka była więcej ożywiona aniżeli pierwsza, ponieważ Fabijan bronił się z wściekłością. Kilka razy po uderzeniu gwałtownem, czekałem na odparcie Fabijana, którego on nawet nie próbował.

Nagle przy starciu, Drake ciął szablą. Myślałem że uderzył Fabijana w same piersi. Lecz Fabijan odparł, a uderzając za nisko, trafił w szablę Drake'a. Ten się zwrócił zasłaniając prędko pół-kołem, gdy w tym czasie błyskawice prały chmury po nad naszymi głowami.

Fabijan miał dobrą sposobność zadać uderzenie odpierając. Lecz nie. Czekał zostawiając swemu przeciwnikowi czas do obrony. Przyznaję, że ta wspaniałomyślność nie podobała mi się. Harry Drake nie był z tych, którychby warto oszczędzać.

Niespodziewanie, raptem Fabijan upuścił swoją broń, w dziwnem zaniedbaniu, czego niczem nie mogłem sobie wytłomaczyć.

Miałże być śmiertelnie ranny, chociażśmy tego nie domyślali się nawet? Wszystkie krew napłynęła mi do serca.

Tymczasem wzrok Fabijana dziwnie się ożywił.

— Brońże się pan — wykrzyknął Drake głosem strasznym, pochylony jak tygrys, i gotów rzucić się na swego przeciwnika.

Myślałem że już po bezbronnem Fabijanie który był bez krwi. Corsican chciał stanąć pomiędzy nim i jego nieprzyjacielem, dla przeszkodzenia, żeby cios nie padł na człowieka bezbronnego. Lecz Harry Drake, zdumiony, stanął także nieruchomy.

Odwrociłem się. Błada jak trup, z rękami wyciągniętymi zbliżała się do walczących Ellen, Fabijan z otwartymi rękami, oczarowany tem zjawiskiem, nie ruszał się z miejsca.

— To ty! Ty! — wykrzyknął Harry Drake, odwracając się do Elleny. — Ty tutaj!

Szpada jego wzniesiona drżała, z ognistym końcem wyglądała jak miecz Michała archanioła w rękach szatana.



Nagle olśniewająca błyskawica oświeciła strasznie cały tył parostatku. O mało się nie przewróciłem, jakby uderzony piorunem. Błyskawice i piorun razem uderzyły. Rozszedł się zapach siarki. Wysileniem nadzwyczajnym przyszedłem mniej więcej do przytomności. Upadłem na jedno kolano, podnoszę się. Patrzą. Ellen wsparta na Fabijanie. Harry Drake, skamieniały, pozostał w tej samej postawie, lecz twarz miał czarną!

Czy ten nieszczęśliwy, sprowadzając błyskawicę końcem szpady, został wtedy piorunem uderzony? Ellen odeszła od Fabijana, zbliżyła się do Harry Drake'a, ze wzrokiem pełnym anielskiego współczucia. Położyła mu rękę na ramieniu. To lekkie dotknięcie było dostateczne dla zachowania równowagi.

Ciało Drake'a upadło, jak masa bezwładna. Ellen pochyliła się nad trupem, gdy my przestraszeni odsunęliśmy się. Nieszczęśliwy i nikczemny Harry umarł.

— Zabity od pioruna! — rzekł doktor, chwytając mnie za rękę — zabity od pioruna! Acha! nie chciałeś pan wierzyć w pomoc pioruna?

Czy Harry Drake został zabity od pioruna, jak utrzymywał Dean Pitferge, czy też raczej jak zapewnił później lekarz okrętowy, że jakieś naczynie pękło w piersiach biednego, tego nie wiem. W każdym razie mieliśmy tylko trupa przed oczyma.

### XXXIII

Nazajutrz, we wtorek 9 kwietnia, o godzinie jedenastej rano, „Great Eastern”, podnosił kotwicę i robił przygotowanie, aby w płynąć w zatokę Hudsonską sternik manewrował, z nieporównaną pewnością rzutu oka. Burza ustała w nocy. Ostatnie chmury znikwały na horyzoncie. Około wpół do dwunastej „Sante” przyплыł. Był to mały parostatek przywożący wiadomości o stanie zdrowia w Nowym Yorku. Zaopatrzony w wahadło, które się podnosiło i zniżało po nad pokładem, płynął z nadzwyczajnie

czajną szybkością, i przedstawiał mi wzór owych małych statków amerykańskich, zbudowanych na jeden sposób, których wkrótce ze dwadzieścia mieliśmy za towarzyszków. Niezadługo przepłynęliśmy Light Boat, ognisko pływające, które wskazuje przejścia Hudsonu. Sandy Hook cypel piaszczysty zakończony latarnią, znajdował się tuż obok i tam też kilkanaście osób przypatrujących się przywitało nas głośnemi okrzykami.

Kiedy „Great Eastern” okrążył zatokę środkową utworzoną cyplem Sandy Hook, wśród flotylli rybaków, spostrzegłem zieleniejące wzgórza New Jersey, ogromne warownie zatoki, dalej linią niską dużego miasta wydłużonego pomiędzy zatoką Hudson a rzeką Wschodnią jak Lijon, pomiędzy Rodanem a Saoną.

O godzinie pierwszej, przepłynąwszy wybrzeża Nowego Yorku, „Great Eastern” stanął w zatoce Hudsonskiej, a kotwice zaczepiły o liny telegraficzne w rzece, które odpływając trzeba było porwać.

Wtedy dopiero rozpoczęło się wysiadanie tych wszystkich towarzyszy podróży, których już nigdy nie miałem widzieć, mieszkańców Kalifornii, Szwedów, Mormonów, młoda parę narzeczonych... Oczekiwałem Fabijana i Corsicana.

Musiałem opowiedzieć kapitanowi Andersonowi wypadki pojedynku odbytego na okręcie. Lekarze zdali swój raport. Sprawiedliwość nie miała nic przeciwko śmierci Harry Drake'a, wydano więc rozkaz, oddania mu ostatniej posługi na ziemi. W tej chwili statystyk Cokburn, który przez całą drogę nie rozmawiał ze mną, zbliżył się do mnie i powiedział:

— Wiesz pan, ile razy obróciły się koła podczas tej drogi?

— Nie wiem.

— Sto tysięcy siedemset dwadzieścia trzy.

— Ah! doprawdy! A śruba spiralna, jeżeliś pan łaskaw?

— Sześć kroć ośm tysięcy sto trzydzieści razy.

— Bardzo dziękuję.

I statystyk Cokburn odszedł nie pożegnawszy mnie wcale.

Fabijan i Corsican przyłączyli się do mnie. Fabijan ścisnął mnie tkliwie za rękę.

— Ellen — rzekł mi — Ellen wyzdrowieje! przyszła na chwilę do przytomności! Ah! Bóg jest sprawiedliwy, uzdrowi ją całkiem!

Fabijan mówiąc to, uśmiechał się do przyszłości. Codo kapitana Corsicana, całował mnie bez ceremonii, w gwałtowny sposób.

— Do widzenia, do widzenia — wołał do mnie, siedząc w łódce gdzie już był Fabijan i Ellen pod opieką pani R..., siostry kapitana Mac Elwina, która przybyła na spotkanie brata.

Patrzyłem jak się oddalili. Widząc Ellenę pomiędzy Fabijanem i jego siostrą, nie wątpiłem, że przy staraniach, przywiązaniu, i miłości, wyprowadzą tę biedną duszę z obłąkania, którego przyczyną była boleść.

Wtej chwili uczułem jak mię ściśnięto za ramię. Poznałem uścisk doktora Dean Pitferg'a.

— No i cóż — rzekł mi — co pan z sobą robisz?

— Ponieważ „Great Eastern” stać będzie sto dziewięćdziesiąt dwie godzin w Nowym Yorku, i ponieważ mam na nim powrócić, więc mam sto dziewięćdziesiąt dwie godzin do stracenia w Ameryce. Stanowi to ośm dni, lecz ośm dni dobrze użytych, może wystarczą dla obejrzenia Nowego Yorku, Hudsonu, doliny Mohawk, jezioro Erie, Nijagary, i całego kraju wysławionego przez Coopera.

— A! pojedziesz pan do Nijagary? — zawołał Dean Pitferge. — Dalibóg, chciałbym tam jeszcze być, i jeżeli moja propozycja nie wydaje się panu niedyskretną?...

Pocziwy doktor bawił mnie swemi przywidzeniami. Wielce mię zajmował. Był to przewodnik niechcący znaleziony, a do tego przewodnik bardzo rozumny.

— Przystaję — odpowiedziałem mu.

W kwadrans później, zebraliśmy się na łódkę, a o godzinie trzeciej przebywszy Broadway, umieściliśmy się w dwu pokojach hotelu Fifth Arenne.

## XXXIV

Miałem ośm dni do przepędzenia w Ameryce! „Great Eastern” miał odpłynąć 16 Kwietnia a dnia 9 o godzinie trzeciej po południu sunąłem na ziemi Stanów Zjednoczonych. Ośm dni! Są turyści zapaleni „podróżujący umyślnie” którym prawdopodobnie czas ten wystarczyłby na zwiedzenie całej Ameryki. Nie miałem tej pretensyi. Ani nawet tej, aby zwiedzić szczegółowo Nowy York i po tem przejrzeniu nadzwyczaj gwałtownem napisać dzieło o zwyczajach i charakterze mieszkańców Ameryki. Ale położenie, widok fizyczny Nowego Yorku łatwy jest do obejrzenia. Nie przedstawia większej różnorodności niż szachownica. Ulice przecinają się pod kątem prostym nazywają się *avenues*, jeżeli są podłużne, *streets*, jeżeli poprzeczne; numera porządkowe na tych rozmaitych drogach komunikacyjnych; jest to urządzenie bardzo praktyczne, lecz nadzwyczaj jednostajne; omnibusy amerykańskie przebiegają wszystkie *avenues*. Kto poznał jedną część Nowego

Yorku, zna całe wielkie miasto, wyjąwszy chyba tę gmatwaninę ulic i uliczek, w końcu południowym, gdzie zamieszkała ludność handlująca. Nowy York, jestto kawał ziemi w kształcie cypla, i cały jej ruch znajduje się na końcu tego cypla. Z każdej strony rozwija się Hudson i rzeka Wschodnia, dwie prawdziwe odnogi morskie wypełnione statkami których *ferryboats* łączą miasto po prawej stronie z Brooklyn, po lewej z brzegami New Jersey. Jedna tylko arterya przerywa systematyczne nagromadzenie cyrkułów Nowego Yorku, i rozprowadza w nim życie. Jest to stara Broadway, Straand Londyński, bulwar Montmatre paryzki; prawie nie do przebycia w swej części niższej, gdzie tłumy napływają, a w części wyższej prawie pusta; jedyna ulica, na której chałupy i pałace marmurowe dotykają się; prawdziwa rzeka fiaków, omnibusów, wozów, kar do ciężarów i t. p. Broadway — to Nowy York, i tam z doktorem Pitferge'm chodziliśmy aż do wieczora. Po obiedzie w hotelu Fifth Avenue gdzie nam z uroczystości podano potrawy lilipuc-



kie na półmiskach jak dla lalek; miałem dzień zakończyć w teatrze Barnum'a. Grali dramat, który ściągał tłumy: *New Yorks Streets*<sup>7</sup>. W czwartym akcie był pożar i prawdziwa pompa parowa, przy której pracowali prawdziwi strażacy. Stąd to pochodziło *great attraction*. Naza jutrz rano doktor pobiegł za swemi interesami. Mieliśmy się zejść w hotelu o godzinie drugiej. Poszedłem, Liberty street N. 51, na pocztę, dla odebrania listów, które tam na mnie czekały, później na Bowling Green, 2. na dole Broodway do konsula Francuskiego, p. barona Gauldr'ee Boilleau, który mię przyjął bardzo grzecznie, potem do domu Hoffmana gdzie miałem podnieść pewną sumę, a w końcu pod numer 25 trzydziestej szóstej ulicy do pani R... siostry Fabijana, do której miałem adres. Żądny byłem wiadomości o Ellenie i o moich obydwu przyjaciółach. Tam się dowiedziałem, że pani R... Fabijan i Corsican wyjechali z Nowego Yorku z porady lekarzy, i wywieźli młodą kobietę, gdyż świeże powietrze i spokój wiejski,

---

<sup>7</sup>*New Yorks Streets* — Ulice Nowego Yorku. [przypis tłumacza]

miały korzystnie wpłynąć na jej zdrowie. Słowo od kapitana uprzedzało mnie o tym niespodziewanym wyjeździe. Poczciwy kapitan przychodził do hotelu Fifth Avenue ale się ze mną nie spotkał. Gdzie on i jego przyjaciele wyjechali, opuszczając Nowy York? Trochę wprost siebie do pierwszego jakiego pięknego położenia, któreby podobało się Ellenie; tam mieli zabawić dopóty póki czas skutkować będzie. Corsican miał mię o wszystkim zawiadamić mając nadzieję że nie odjadę nie uściskawszy ich wszystkich po raz ostatni. Tak zapewne, chociażby tylko na kilka godzin byłbym szczęśliwy, gdybym zobaczył Ellenę, Fabijana i kapitana Corsicana! Lecz, to już taka strona podróży: śpiesząc się tak jak ja, kiedy oni odjechali, ja odjeżdżać miałem kaźden w swoją stronę, nie można było mieć nadziei zobaczenia się. Ogodzinie drugiej byłem zpowrotem w hotelu. Zastałem doktora w *bar-room* zapełnionym jak giełda lub targ, w prawdziwej sali publicznej, gdzie się łączą przechodzący i podróżni, gdzie

wszystko znajdują bezpłatnie, wodę z lodem, ciastka i chester (ser).

— No i cóż doktorze — zapytałem. — kiedy jedziemy?

— Dziś wieczór, o szóstej.

— Popłyniemy Rait-Roadem Hudsonskim?

— Nie, „Saint-Johnem”, parostatkiem znakomitym, drugim światem, „Great Easternem” na rzece, jedną, z tych cudownych machin do przenoszenia, które skaczą z dobrej woli. Wolałbym panu pokazać Hudson w dzień, lecz Saint-John pływa tylko w nocy. Jutro o 5-ej z rana będziemy w Albany. O 6-tej weźmiemy New York Central Rail-road<sup>8</sup>, a wieczorem zjemy kolację w Niagara-Falls.

Nie opierałem się programowi doktora. Przyjąłem go z zamkniętymi oczyma. Na maszynie do podnoszenia, urządzonej w hotelu dostaliśmy się do swoich pokojów, a w kilka minut tą samą drogą spuściliśmy się ze swemi workami podróżnemi. Fiaker za dwadzieścia franków od-

---

<sup>8</sup>*New York Central Rail-road* — Centralna kolej żelazna Nowego Yorku.  
[przypis tłumacza]

wiózł nas w kwadrans do portu w zatoce Hudson, przy którym „Saint-John” okrywał się już dużymi kłębamii dymu.

## XXXV

„Saint-John”, „Dean”, „Richmond”, były najpiękniejszymi parostatkami na rzece. Są to raczej gmachy niż statki. Mają dwa lub trzy piętra tarasów, galeryj, werend, miejsc na przechadzkę. Myślałbyś, że to jest pływająca posiadłość plantatora. Całość ma nad sobą ze dwadzieścia belek rozpiętych, spojonych okuciami żelaznymi, które umacniają wszystkie szczegóły budowli. Dwa ogromne bębny są malowane *alfresco*, jak bębenki w kościele świętego Marka w Wenecyi. Z tyłu przy każdym kole wznosi się komin od dwu kotłów, umieszczonych zewnątrz, a nie w bokach parostatku. Dobrze-to zabezpieczenie na wypadek pęknięcia. Wśrodku pomiędzy bębnami urządzone jest mechanizm nadzwyczaj prosty: jeden cylinder, wał obracający długie wachadło, które się podno-

si i opada jak ogromny młot w kuźni i prosty pręt przenoszący ruch do kół mocno zbudowanych. Już tłum przechodniów wypełniał pokład „Saint-Johna”. Ja i Dean Pitferge dostaliśmy pokoić, wychodzący na obszerny salon jak galeryja Dyjany, której zaokrąglone sklepienie, wsparte było na szeregu kolumn korynckich. Wszędzie był komfort i zbytek, dywany, sofya, kanapy, przedmioty sztuki, malowidła, lustra i gaz przyrządzony w małym gazometrze na statku. W tej chwili kolosalna machina zatrzęsła się i puściła w drogę. Wszedłem na tarasy najwyższe. Na przodzie wznosił się dom świetnie malowany. Był to pokój sterników. Czterech silnych ludzi stało przy sprychach podwójnego koła rudła. Po przechadzce kilkuminutowej zszedłem na pokład, pomiędzy już czerwone kotły, z których wychodził mały niebieski płomień pod naciskiem powietrza, wpadającego przez wentylatory. Nie mogłem nic widzieć na Hudsonie. Noc zapadła, a z nocą mgła, „że oczy wykól”. „Saint John” rżał w ciemności, jak straszny mastodont. Za-

ledwie można było dojrzeć, kilka światełek z miast położonych na wybrzeżach, i latarnie statków parowych, które przepływały wody ciemne i ponure z głośnemi gwizdaniami.

O godzinie ósmej wszedłem do salonu. Doktor zaprowadził mnie na kolację do wspaniałej restauracyi, umieszczony w przedziale między dwoma pomostami, gdzie usługiwała armija czarnych lokajów. Powiedział mi Dean Pitferge, że liczba podróżnych na statku przewyższa cztery tysiące, a dalej, że pomiędzy niemi jest pięciuset emigrantów, umieszczonych w dolnej części parostatku. Zjadłszy kolację, poszliśmy spać do naszego wygodnego pokoiku.

O godzinie jedenastej obudziło mię jakieś wstrząśnienie. „Saint John” zatrzymał się. Kapitan kazał stanąć, nie mogąc dalej płynąć wśród ogromnej ciemności. Wielki statek, stanąwszy w odnodze, zasnął spokojnie na swych kotwicach.

O czwartej z rana „Saint John” rozpoczął swój bieg na nowo. Wstałem i poszedłem schronić się pod werandę z przodu statku. Deszcz

przestał padać, mgła poszła w górę, okazały się wody rzeki, później jej brzegi; prawa strona brzegu ożywiona ozdobiona zielonemi drzewami i drzewkami, dającemi jej pozór długiego cmentarza; na ostatnim planie wysokie wzgórze kończące horyzont ozdobną linią, przeciwnie na lewym brzegu, grunta niskie i bagniste! w łożysku rzeki pomiędzy wyspami, galioty wyruszające z pierwszym powiewem wiatru i parostatki płynące przeciwko szybkiemu biegowi Hudsonu.

Doktór Pitferge przysiadł do mnie pod wendę.

— Dzień dobry, mój towarzyszu — powiedział mi, odetchnąwszy wpierw z całą swobodą. — Wiesz pan, że z łaski tej mgły przekłętej, za późno przybędziemy do Albany, abyśmy mogli pojechać pierwszym pociągiem! To zmieni mój program.

— Tem gorzej, doktorze, gdyż musimy się z czasem oszczędnie obchodzić.

— Wybornie! skwitujemy się tym sposobem, że zamiast przybyć do spadków Nijagary wieczorem, przybędziemy w nocy.

Nie było to dla mnie dogodnie, lecz musiałem się zgodzić z wolą wypadków.

Rzeczywiście, „Saint John” dopiero o godzinie ósmej przywiązał liny do brzegu Albany. Pociąg ranny odszedł. Trzeba więc było koniecznie czekać na pociąg odchodzący o godzinie pierwszej i minut czterdzieści. Stąd mieliśmy dość czasu do zwiedzenia tego ciekawego miasta, które stanowi centrum prawodawcze stanu Nowy York. Dolne miasto, handlowe i zaludnione, rozciąga się na prawym brzegu Hudsonu; górne zaś ma domy murowane, gmachy publiczne i bardzo znakomite muzeum rzeczy kopalnych. Myślał by kto, że jest to jeden z większych cyrkułów Nowego Yorku, przeniesiony na bok tego wzgórza, na którym się rozciąga w kształcie amfiteatru.

O godzinie pierwszej po śniadaniu byliśmy w przystani, w przystani wolnej; bez żadnej zagrody, bez straży. Pociąg stawał po prostu na



środku ulicy jak omnibus na swoim miejscu. Każdy siada jak chce do tych długich wagonów, podtrzymywanych z przodu i tyłu za pomocą czopów na czterech kołach. Te wagony łączą z sobą uliczki po których podróżni mogą przechodzić od jednego końca do drugiego. O naznaczonej godzinie nie widząc naczelnika, ani urzędnika, bez żadnego dzwonienia, bez oznajmienia, zwawa lokomotywa przystrojona jak szkatułka, — cacko złotnicze do postawienia na etażerce, weszła w ruch i uniosła nas z szybkością dwunastu mil na godzinę. Lecz zamiast być ściśnieni jak w wagonach dróg francuskich, byliśmy swobodni, mogliśmy chodzić, kupować dzienniki i książki „bez stempli”. Wyznać muszę, że o ile mnie się zdaje, stempel nie przeniknął do obyczajów amerykańskich, żadna cenzura nie pomyślała sobie w tym szczególniejszym kraju, że z większym staraniem trzeba czuwać nad czytaniem ludzi siedzących w wagonach, niż tych co czytają w kącie swego ogniska, siedząc na fotelach. To wszystko mogliśmy robić, nie czeka-

jąc na stacje i przystanki. Kramiki wędrowne, biblijoteki, wszystko jedzie wraz z podróżnemi. Przez ten czas pociąg przebiegł pola bez baryer, lasy świeżo karczowane, rezykując się na potrącenie o pnie ścięte, miasta nowo założone z ulicami szerokimi, które przerzynały relsy, lecz na których brakowało jeszcze domów; miasta ozdobione najpoetyczniejszemi nazwiskami historyi starożytnej. Rzym, Syrakuzy, Palmira! W taki to sposób przedstawiła się naszym oczom ta cała dolina Mohawk, ta okolica Fenimora<sup>9</sup> należąca do romanso-pisarza amerykańskiego tak, jak okolica Rob Roy do Walter-Skotta. Na horyzoncie na chwilę zabłysło jezioro Ontario, gdzie Cooper umieścił sceny swego arcydzieła. Cała ta widownia wielkiej epepi, okolica dawniej dzika jest teraz wioską ucywilizowaną. Doktor nie posiadał się z radości. Nie przestawał nazywać mnie „Sokolem Okiem”, i nie chciał odpowiadać inaczej niż na imię Chingahook!...

---

<sup>9</sup>*Fenimora* — Coopera. [przypis tłumacza]

O jedenastej w nocy zmieniliśmy pociąg w Rochester, i przebywaliśmy szybkie prądy Tenessee, niknące w kaskadach pod naszymi wagonami. O godzinie drugiej z rana, przejechawszy kilka mil koło Nijagary, nie widząc jej, przybyliśmy do wsi Niagara Falls, a doktor zaprowadził mnie do hotelu okazałego, pysznie nazwanego Cataract House.

## XXXVI

Nijagara nie jest ani wielką ani małą rzeką: jest to zwyczajny upust zbytecznej wody, ściek naturalny, kanał długości trzydzieści sześć mil, który wylewa wody z jeziora, Wyższego z Michigaru, jeziora Hułońskiego i z Erie do Ontario. Różnica poziomu między temi dwoma ostatniemi jeziorami wynosi trzysta czterdzieści stóp angielskich, różnica ta jednostajnie rozdzielona na cały ten przebieg zaledwieby utworzyć mogła zwykły „prąd” lecz same spadki przytłumiają, jej połowę. Ztąd straszna ich siła.

Ten kanał nijagarski przedziela Stany Zjednoczone od Kanady, prawy jego brzeg jest amerykański, a brzeg lewy angielski. Z jednej strony cywilizacja; a z drugiej niema nawet jej cienia. Z brzaskiem dnia 13 kwietnia, wyszliśmy z doktorem na szerokie ulice Niagara-Falls. Jestto nazwisko tej wsi, założonej na brzegach spadku, na trzy kroć sto tysięcy mil od Albany, rodzaj małego „miasteczka wodnego” zbudowanego wśród zdrowego powietrza w położeniu zachwycającem, zaopatrzone w pyszne hotele i wille wygodne, dokąd Yankesi i Kanadyjczycy uczęszczają w czasie dni pięknych. Czas był cudowny; słońce świeciło na wypogodzonym niebie. W oddaleniu dawały się słyszeć krzyki przytłumione. Na horyzoncie zobaczyłem jakieś wyziewy, które nie mogły być chmurami.

— Czy to jest spadek wody? — spytałem doktora.

— Cierpliwości! — odpowiedział mi Pitferge.

W kilka minut przybyliśmy na brzegi Nijagary. Wody rzeki płynęły spokojnie; były czyste i niegłębokie, liczne wierzchołki szarych skał ukazywały w rozmaitych punktach. Słysząc było szum kaskady, lecz nie mogliśmy jeszcze jej widzieć. Most drewniany, wzniesiony na arkadach żelaznych, łączy ten brzeg lewy z wyspą w środku biegu wody. Doktor zaprowadził mnie na ten most. W górze ciągnęła się rzeka, że okiem nie można nic dojrzeć, na dole, to jest po prawej stronie, spostrzedz można było pierwsze nierówności prądu; potem o pół mili od mostu, raptownie zabrakło gruntu, chmury kropel wody utrzymywały się zawieszony w powietrzu. Był to spadek wody amerykański, którego nie mogliśmy widzieć. Stamtąd zaryso- wywał się krajobraz spokojny, kilka pagórków, wille, domy, drzewa ogołococone. Jestto brzeg kanadyjski.

— Nie patrz pan! nie patrz! — wołał na mnie doktor Pitferge. — Powstrzymaj się pan! Zamknij oczy! Nie otwieraj ich pan, aż ja powiem!

Nie słuchałem wcale mego oryginała. Patrzyłem przeszedłszy most, stanęliśmy na wyspie. Była to Goat Island, (wyspa kozia) kawałek ziemi, kawałek ziemi siedemdziesiąt akrów wynoszący okryty drzewami, poprzerzynany pysznymi alejami, po których powozy mogą przejeżdżać, rzucone jak bukiet, między spadkiem amerykańskim i kanadyjskim, które przedziela przestrzeń trzystu jardów. Przebiegaliśmy pod temi dużymi drzewami, wdzieraliśmy się na wzgórze, przelaziliśmy po pochyłościach. Grzmot wody się powiększał; chmury pary wilgotnej przesuwwały się w powietrzu.

— Patrz pan! — wykrzyknął doktor.

Rozlewając się szeroko, Nijagara okazała się nam w całej swej okazałości. W tem miejscu, tworzyło się zakrzywienie raptowne, i zaokrąglając się, by uformować spadek kanadyjski *horse-shoe-fall* (podkowę), spadał z wysokości stu pięćdziesięciu ośmiu stóp na przestrzeni dwu mil.

Natura w tem miejscu, jedna z najpiękniejszych w całym świecie, wszystko tu połączy-

ła dla zachwycenia oczu. Ten zakręt Nijagary w niej samej sprzyja szczególnie rozwinięciu się efektów światła i cienia. Słońce, uderzając o te wody pod wszystkimi kątami, urozmaica dziwnie ich kolor, a kto nie widział jaki to robi efekt, nie uwierzy bez sporu. W istocie blisko Goat Island, piana jest biała; jest to śnieg niepokalany, prąd srebra roztopionego płynący w próżnię. W środku kaskady, wody posiadają cudowną zieloność morza która jest wskazówką ogromnej głębokości wody. To też okręt Detroit, potrzebujący dwadzieścia stóp wody, a płynący z tym biegiem mógł przepłynąć spa- dek nie dotykając gruntu. Ku brzegowi kanadyjskiemu, przeciwnie wiry wodne, jakby zmetalizowane pod blaskiem jaśniejącego, słońca błyszczą, i wyglądają jak złoto roztopione w padające w przepaść. Z pod spodu rzeka nie jest widzialną. Wyziwy tworzą tam wir. Dojrzałem przecież, ogromnych lodów, zgromadzonych mrozami zimowemi one przybierają kształty potworów, które otwartymi paszczami, pochłaniają w godzinę setki milionów beczek,

które im wylewa niewyczerpana Nijagara. O pół mili na dół kaskady, rzeka staje się spokojną, i przedstawia powierzchnią niewzruszoną, której pierwsze kwietniowe wiatry nie mogły roztopić jeszcze.

— A teraz na środek potoku! — powiedział mi doktor.

Co on rozumiał przez te wyrazy? Nie wiedziałem co myśleć, gdy mi pokazał na końcu skały zbudowaną wieżę, o kilkaset stóp od brzegu, nad samym skrajem przepaści. Ten pomnik zuchwały wzniesiony w 1833 r. przez niejakiego Judge Porter, jest nazwany „Terrapin Tower”.

Zeszliśmy po bocznych pochyłościach Goat Islandu. Przybywszy na wyższy brzeg Nijagary, zobaczyłem most, a raczej kilka desek rzuconych na wierzchołki skał; łączące wieżę z brzegami. Ten most ciągnął się nad przepaścią kilka tylko kroków. Potok ryczał pod spodem. Zrezykowaliśmy się przejść po tych deskach i w krótkim czasie dostaliśmy się do głównej podpory na której wznosi się „Terrapin Tower”.



Ta wieża okrągła, wysokości czterdzieści pięć stóp, jest zbudowana z kamienia. Na jej szczycie rozciąga się balkon w kółko, na około dachu, okrytego gipsem czerwonawym. Schody kręcone są z drzewa. Znaleźliśmy tysiące nazwisk wyrytych na tych schodach. Wszedłszy już na wierzch wieży czepić się można balkonu i wyglądać.

Wieża jest już w samej kaskadzie. Z jej szczytu wzrok zanurza się w przepaść. Zagłębia się on aż do owej paszczy potworów lodowych, które pochłaniają potok. Czuć można drzenie skały, unoszącej wieżę. W koło wydrążają się rozpadliny przerażające, jakby łoża rzeki ustępowało.. Nic nie słyhać, co się mówi. Z tych wzdęć wody wychodzą grzmoty. Piana wskakuje aż do szczytu pomnika. Krople wody w drobnym proszku rozchodzą się w powietrzu, tworząc przepyszną tęczę.

Z powodu zwykłego optycznego złudzenia zdaje się, że wieża odsuwa się z przestraszającą szybkością, — lecz na szczęście, w tył od spadku; w przeciwnym bowiem razie zawrót głowy

byłby nie do zniesienia, i nikt nie mógłby patrzeć w tę otchłań.

Zdyszani, zmęczeni, weszliśmy na chwilę do najwyższej sieni wieży. Wtedy to właśnie doktor uważał za potrzebne powiedzieć mi:

— Ta Terrapin Tower mój panie, zapadnie się którego dnia w przepaść, a nawet może wcześniej niż przypuszczają.

— A! naprawdę!

— Nie ma wątpliwości. Wielki spadek kanadyjski odsuwa się niepostrzeżenie, lecz odsuwa się. Kiedy w r. 1833 zbudowano wieżę, była ona o wiele więcej oddalona od kaskady. Geologowie utrzymują, że spadek, lat temu trzydzieści pięć tysięcy, był w Queenstown, o siedm mil na dół, od miejsca w którym jest teraz. Podług P. Bakewell ma się odsuwać o jeden metr rocznie, a jak utrzymuje sir Karol Lyell, o stopę tylko. Przyjdzie więc chwila, kiedy skała unosząca wieżę, poderwana wodami, zsunie się na pochyłość kaskady. Otóż mój panie pamiętaj to sobie, w dzień kiedy spadnie Ter-

rapin Tower, będzie na niej kilku dziwaków, którzy wpadną w Nijagarę razem z nią.

Spojrzałem na doktora, jak by się pytając czy i on będzie w liczbie tych oryginałów. Lecz dał mi znak, aby pójść za nim, poszliśmy tedy znowu przypatrywać się *horse-shoe-fall* i krajobrazowi otaczającemu. Widać było wtedy trochę w skróceniu, spadek amerykański, oddzielony końcem wyspy, gdzie utworzyła się także mała kaskada środkowa, szerokości stu stóp. Ten spadek wody Amerykański, równie zachwycający, jest prosty, bez zakrętów, a wysokość jego wynosi sto sześćdziesiąt cztery stóp mierząc prostopadle. Lecz aby go obejrzeć w całej jego rozległości, trzeba się umieścić wprost na brzegu kanadyjskim.

Przez cały dzień bląkaliśmy się po brzegach Nijagary; nieprzewyciężona siła ciągnęła nas do tej wieży, gdzie ryk wody, upojenie i zapachy kaskady, utrzymuje w nieustannem zachwyceniu. Później powróciliśmy do Goat Islandu, ażeby obejrzeć wielki spadek ze wszystkich punktów widzenia, nie mogąc sobie nigdy

sprzykrzyć cudownego widoku. Doktor chciał mnie zaprowadzić do Groty Wiatrów, wydrążonej z tyłu spadku głównego, do której można się dostać przez schody zbudowane u wierzchu wyspy; lecz przystęp do niej był wtedy zabroniony, z powodu częstego zawalania, które się wydarzają od niejakiego czasu w tych kruchych skałach. O godzinie piątej weszliśmy do Cataract House i po krótkim obiedzie podanym na sposób amerykański, wróciliśmy na Goat Island.

Doktor chciał obejść ją w około i zobaczyć Trzy siostry, zachwycająco wysepki rozrzucone na wierzchołku głównej wyspy. Później gdy nastąpił wieczór, przyprowadził mnie doktor znów do trzęsącej się skały. Terrapin Toweru.

Słońce zaszło za pagórki pogrążające się w ciemności. Ostatnie promienie dnia znikły. Księżyc w połowie pełni, świecił czystym światłem. Cień wieży wydłużał się nad przepaścią. Z góry, wody ślizgały się spokojnie pod tchnieniem lekkiego wiatru. Brzeg kanadyjski zatopiony już w cieniu, tworzył kontrast z masami więcej oświe-

tlonymi Goat Islandu i wsi Niagara Falls. Pod naszymi oczyma, otchłań zwiększona w półcieniu, wydawała się przepaścią bezdenną, w której ryczała straszna kaskada. Co też to za wrażenie. Przez jakiś czas światło ruchome ukazało się na horyzoncie. Była to latarnia pociągu przechodzącego o dwie mile od nas. Do godziny 12 siedzieliśmy tak, milcząc nieruchomie u szczytu tej wieży, nieprzepartą siłą pochyłani nad potokiem który nas czarował. Nakoniec w chwili, kiedy promienie księżyca uderzyły pod pewnym kątem ów kurz płynny, zobaczyłem pas mleczny, wstęgę przezroczysty drżącą w cieniu. Była to tęcza księżycowa, blade promieniowanie gwiazdy nocnej której słabe światelko rozkładało się w mgłach kaskady.

## XXXVII

Nazajutrz 13 kwietnia, program doktora wskazywał zwiedzenie wybrzeża kanadyjskiego. Zwyczajna przechadzka. Dostyc było iść wzgórzami, tworzącemu prawą stronę Nijagary w prze-

strzeni dwu mil dla dojścia do wiszącego mostu, wyszliśmy o siódmej rano. Z krętej ścieżki wzdłuż prawego brzegu, widać było spokojne wody rzeki, która się już nie czuła zależną od mętów swego spadku.

O wpół do ósmej przybyliśmy do Suspension Bridge<sup>10</sup>. Jest to jedyny most do którego dotyka kolej żelazna Great Western i Nowego Yorku, jedyny dający wejście do Kanady na granicach stanu Nowego Yorku. Ten wiszący most składa się z dwu chodników, chodnikiem górnym przechodzą pociągi, chodnikiem dolnym zbudowanym dwadzieścia trzy stóp poniżej, przechodzą powozy i pieszo idący. Wyobraźnia nie ośmiela się iść krok w krok za zuchwałą pracą inżyniera Johna A. Roeblinga z Tredon (w stanie New Jersey), który odważył się zbudować ten wjadukt w takich warunkach. Most wiszący, po którym mogą przechodzić pociągi, na dwakroć pięćdziesiąt stóp po nad Nijagarą, przetworzoną znowu w przepaść! Suspension Bridge ma długości osiemset

---

<sup>10</sup>*Suspension Bridge* — most wiszący. [przypis tłumacza]

stóp, szerokości dwadzieścia cztery. Podpory żelazne, wbite w brzegi ochraniają go od kołysania. Liny, na których się otrzymuje, zrobione są z czterech tysięcy powrozów, mają dziesięć cali średnicy, i mogą, wytrzymać ciężar dwunastu tysięcy czterystu beczek. Most zaś waży tylko osiemset beczek. Otworzony w 1855 r., kosztował pięć troć sto tysięcy dolarów. W chwili kiedyśmy doszli do środka Suspension Bridge, pociąg przechodził po nad naszymi głowami, i czuliśmy jak chodnik uginał się o jeden metr pod naszymi nogami.

— Właśnie trochę poniżej tego mostu Blondin przebył Nijagare, na linie uwiązanej od jednego do drugiego brzegu, nie zaś ponad przepaściami. Mimo to przedsięwzięcie dosyć było niebezpieczne. Lecz jeżeli Blondin zadziwia nas swą śmiałością, cóż pomyśleć trzeba o przyjacielu, który mu siadł na plecy, towarzysząc w tej przechadzce napowietrznej.

— Był to może jaki żarłok — rzekł doktor — Blondin robił doskonałą jajecznicę na swej wytężonej linie.

Byliśmy na ziemi kanadyjskiej, i weszliśmy na lewy brzeg Nijagary, chcąc zobaczyć spadki wody z innej strony. W pół godziny później weszliśmy do hotelu angielskiego, gdzie doktor kazał podać wyborne śniadanie. Przez ten czas przeglądałem książkę podróźnych, w której figuruje kilka tysięcy nazwisk. Pomiedzy sławniejszemi spostrzegłem następujące: Robert Peel, lady Franklin, hrabia Paryża, księżę Chartres, księżę Joinville, Ludwik Napoleon (1846), księżę i księżna Napoleon, Barmum (wraz ze swym adresem) Maurycy Sand (1865) Agassie (1854), Almonte, księżę Hohentlohe, Rothschild, Berlin (Paryż), lady Etgin, Burkardt 1832 i t. d.

— A teraz pod spadki wód — powiedział doktor, zjadłszy śniadanie.

Poszedłem za Dean Pitfergem. Murzyn zaprowadził nas do pokoju z odzieżą, gdzie nam dano spodnie nieprzemakalne, „*water-proof*<sup>11</sup>”, kapelusz ceratowy. Tak ubranych zaprowadził nas nasz przewodnik, przez śliską ścieżkę, po-

---

<sup>11</sup>*water-proof* — tu: płaszcz wodoodporny. [przypis edytorski]



przerzynaną przerwami, zasłaną czarnymi kończatami kamieniami, aż do dolnego poziomu Nijagary. Później wśród pary wody w proszek zamienionej, przeszliśmy po za wielkim spadkiem. Kaskada opadała przed nami jak kurtyna teatru przed aktorami. Lecz co to za teatr! a jak warstwy powietrza raptownie z miejsca poruszane, zamieniały się w rozhukane pędy! Zmoczeni, oślepieni, zagłuszeni, nie mogliśmy się widzieć ani słyszeć w tej jaskini tak szczelnie zamkniętej płynnymi obrusami kaskady, jakby ją sama natura zamknęła murem granitowym!

O dziewiątej wróciliśmy do hotelu, gdzie nas rozebrano z naszego przemoczonego ubrania. Wróciwszy na brzeg, wydałem okrzyk podziwienia i radości:

— Kapitan Corsican!

Kapitan usłyszał i przyszedł do mnie.

— Pan tutaj — wykrzyknął. — Co to za radość widzieć znów pana!

— A Fabijan? a Ellen? — pytałem ściskając rękę Corsicana.

— Są tam. Mają się dobrze o ile to podobna. Fabijan pełen nadziei prawie uśmiechnięty. Nasza biedna Ellen przychodzi potrochu do przytomności.

— Lecz dla czego spotykam pana tu, przy Nijagarze?

— Nijagara! — odpowiedział Corsican, — ależ to zwykłe miejsce schadzki w lecie, Anglików i Amerykanów. Przyjeżdżają tu odpoczywać, leczyć się przy tym wzniosłym widoku spadków wody. Na naszej Ellenie, zdaje się, zrobił wrażenie widok tej pięknej okolicy, zamieszkaliśmy więc na brzegach Nijagary. Widzisz pan willę, Chifton House, w pośrodku drzew na wzgórzu. Tam właśnie mieszkamy razem z panią R. siostrą Fabijana, która przywiązała się do naszej biednej przyjaciółki.

— A Ellen, Ellen — pytałem — czy poznała Fabijana?

— Nie jeszcze — odpowiedział mi kapitan. — Wiesz pan przecież, że w chwili kiedy Harry Drake padł trupem, Ellen miała jakby chwilę jasności. Jej umysł ujrział światło po

przez ciemności, które go otaczały. Ale ta jasność umysłu wkrótce znikła.

Jednakże od czasu jak ją tu przewieźliśmy gdzie powietrze czyste a ustronie ciche, doktor zauważył znaczne polepszenie w zdrowiu Elenny. Jest spokojną, sen ma dobry, a w oczach jej widać jakby wysilenie pragnące pozbierać jakie myśli czyto z przeszłości, czy z obecnego czasu.

— Ach! kochany przyjacielu! — wykrzyknąłem — wy ją uzdrowicie. Ale gdzież jest Fabijan, i jego narzeczona?

— Patrz — powiedział Corsican — i wskazał ręką na brzeg Niagary.

W stronie wskazanej przez kapitana, zobaczyłem Fabijana, który nas jeszcze nie spostrzegł. Stał na skale, a przed nim na kilka kroków siedziała Ellen nieruchomie. Fabian patrzył na nią ciągle. To miejsce lewego wybrzeża jest znane pod nazwiskiem „Table Rock”. Jest to jakby przyłodek urwisty na rzece ryczącej o dwieście stóp poniżej. Dawniej przedstawiał znaczniejszą wyniosłość, lecz bezustanne

odpadanie ogromnych odłamów skały, doprowadziły go teraz do powierzchni kilku metrów.

Ellen patrzyła i zdawała się być zatopioną w niemem zachwyceniu. Z tego miejsca, widok spadków wód jest *most sublime*<sup>12</sup>, powiadają przewodnicy i mają słuszność! Jest to widok razem dwu kaskad: po stronie prawej, spadek kanadyjski, którego szczyt zakończony parą, zamyka horyzont z tej strony, jak horyzont rozlanych szeroko wód; naprzeciwko, spadek amerykański, a po nad nim wytworny krajobraz Niagara Falls na wpół ginący w drzewach; po stronie lewej, cały widok rzeki płynącej między temi wysokimi wybrzeżami, poniżej potok toczący walkę ze stosami powywracanych lodów. Nie chciałem przeszkadzać Fabijanowi. Corsican doktor i ja zbliżyliśmy się do Table Rocku. Ellen zachowywała nieruchomość pomnika. Jakie też wrażenie ten widok sprawiał na jej umyśle? Czy też przytomność jej wracała po trochu pod wpływem tego wspaniałego widoku? Zobaczyłem jak Fabijan na-

---

<sup>12</sup>*most sublime* — bardzo wzniosły. [przypis tłumacza]

gle zbliżył się do niej. Ellen wstała porywczo, zmierzała ku przepaści wyciągając ręce ku otchłani, ale zatrzymała się natychmiast, posunęła prędko ręką po czole jakby dla odpędzenia jakiegoś obrazu. Fabijan blady jak trup, ale odważny jednym skokiem stanął między Elieną i otworem. Ellen wstrząsnęła swemi blond włosami. Jej cudne ciało zadrżało. Czy też ona widziała Fabijana? Nie. Jakby umarła, wracająca do życia, stała, starając się odzyskać świadomość rzeczywistości w około siebie! Ja z kapitanem Corsicanem, nie śmieliśmy postąpić kroku, a jednak gdy oni byli tak blisko tej otchłani, obawialiśmy się jakiego nieszczęścia. Ale doktor Pitferge nas wstrzymał.

— Wstrzymajcie się — powiedział — dozwolić działać Fabijanowi.

Słyszałem łkania, podnoszące pierś młodej kobiety. Niewyraźne słowa wychodziły z jej ust. Zdawało się, że chce mówić a nie może. W końcu wymówiła te słowa:

— Boże! mój Boże! Boże wszechmocny! Gdzież jestem? gdzież jestem?

Wtedy widziała, że ktoś jest blisko niej, a na wpół się odwracając, ukazała się nam jakby przemieniona. Nowe jakieś spojrzenie ożywiało jej oczy. Fabijan drżący, stał przed nią niemy, z rękami otwartymi.

— Fabijan! Fabijan! — wykrzyknęła nareszcie.

Fabijan uchwycił ją w swe ramiona; ona padła w nie prawie bez życia. Fabijan krzyknął przeraźliwie. Myślał, że Ellen umarła. Ale doktor przerwał:

— Uspokój się pan — powiedział do Fabijana — to przesilenie uzdrowi ją właśnie.

Ellen przeniesiono do Clifkon House'u i położono na łóżku, gdzie po przejściu omdlenia usnęła snem spokojnym.

Fabijan uspokoiony przez doktora i pełen nadziei, — Ellen go poznała! powróciła do nas:

— Wyleczymy ją — mówił do mnie — wyleczymy. Każdego dnia jestem obecny przy zmartwychwstaniu tej duszy. Dziś, jutro może, moja Ellen będzie mi powróconą! Ah, niebo łaskawe, bądź błogosławione! Zostaniemy

w tej okolicy, póki tego będzie potrzeba dla niej! Nieprawdaż, Archibaldzie?

Kapitan przyciskał Fabijana z tkliwością do piersi. Fabijan odwrócił się do mnie, do doktora. Obsypywał nas swemi czułościami. Opowiadał nam swe nadzieje. A nigdy nadzieja nie była tak wielką. Uzdrawienie Elleny było bliskie...

Ale my mieliśmy odjechać. Za ledwie pozostawała nam godzina, ażeby się dostać do Niagara Falls. W chwili kiedy mieliśmy się rozłączyć z naszymi kochanymi przyjaciółmi, Ellen spała jeszcze. Fabijan nas ścisnął, kapitan Corsican bardzo wzruszony, przyobiecawszy dać mi znać telegramem o Ellenie pożegnał nas po raz ostatni; a o dwunastej opuściliśmy Clifton House.

## XXXVIII

Przez jakiś czas, szliśmy przez bardzo długą spadzistość wybrzeża kanadyjskiego. Ta spadzistość doprowadziła nas do brzegu rzeki, całkiem pra-

wie zawałonej lodem. Tam czekała łódź, mająca nas przewieść do Ameryki. Jeden podróżny już zajął w niej miejsce. Był to inżynier z Kentuck; wymienił zaraz swe nazwisko i zajęcie doktorowi. Odpłynęliśmy, nie tracąc czasu, to odpychając lody, to je odsuwając, łódź dostała się na środek rzeki, gdzie nurt utrzymał przejście wolniejsze. Stamtąd raz ostatni spojrzeliśmy na zachwycającą kaskadę Nijagary. Nasz towarzysz patrzył na nią z uwagą.

— Prawda panie że piękna — mówiłem do niego — zachwycająca!

— Tak — odpowiedział — ale ileż to siły mechanicznej bez użytku, a jaki to młyn mógłby obracać podobny spadek!

Nigdy nie miałem chęci tak nieposkromionej jak tą razą, aby wrzucić inżyniera do wody!

Na drugim brzegu, mała droga, że prawie prostopadła, wciągnęła nas w kilka sekund na wzgórze. O wpół do drugiej wsiedliśmy do *express* który nas zawiózł do Buffalo o kwadrans na trzecią. Zwiedziwszy to młode wielkie miasto, skosztowawszy wody z jeziora Erié, wsiedliśmy



do New Yorku Central Railway, o szóstej wieczorem. Nazajutrz opuściwszy wygodne łóżka *sleeping-car*, przyjechaliśmy do Albany a *rail-road*, Hudsonska biegnąca wzdłuż brzegu lewego rzeki, zrzuciła nas w Nowym Yorku w kilka godzin później.

Nazajutrz 15 kwietnia, w towarzystwie mego niezmordowanego doktora, przebiegłem miasto, rzekę Wschodnią, Brooklyn. Gdy nadszedł wieczór, pożegnałem tego pocziwego Dean Pitferge'a i opuszczając go, uczułem, że pozostawiam przyjaciela.

Na wtorek 16 kwietnia, wyznaczony był dzień, w którym miał odpłynąć „Great Eastern”. Udałem się o godzinie jedenastej do trzydziestego siódmego portu gdzie tender miał czekać na podróżnych. Już był zapchany pasażerami i walizami.

Wsiadłem. W chwili kiedy tender miał odpłynąć z portu, ktoś mnie ścisnął za ramię. Odwróciłem się. Był to jeszcze doktor Pitferge.

— Pan tutaj! — wykrzyknąłem — wracasz pan do Europy?

— Tak, drogi panie.

— Na „Great Easternie”?

— Oczywiście — odpowiedział mi uśmiechając się kochany oryginał — namyśliłem się i jadę. Pomyśl pan przecież, może to będzie ostatnia podróż „Great Easternu”, ta właśnie, z której nie powróci.

Mieli już dzwonić na odjazd, kiedy jeden ze stewardów z hotelu Tifth Avenue, przybiegł prędko, i oddał mi telegram z Niagary Falls: „Ellen się obudziła, umysł całkiem jej wrócił — pisał mi kapitan Corsican — a doktor ręczy za nią!”.

Zakomunikowałem tę dobrą wiadomość De-an Pitferge’owi.

— Ręczy za nią! ręczy za nią! — odparł pomrukując mój towarzysz podróży — ja także ręczę za nią. Lecz cóż to dowodzi? Jeżeliby kto zaręczył za mnie, za pana, za nas wszystkich, mój kochany przyjacielu, możeby bardzo źle zrobił!...

W dwanaście dni później, przybyliśmy do Brestu, a nazajutrz do Paryża. Podróż z powro-

tem odbyła się bez żadnego wypadku, z wielkim nieukontentowaniem Dean Pitferge'a, który ciągle oczekiwał rozbicia statku!

A kiedy usiadłem przy swoim stole, to, gdybym nie miał tych notatek z każdego dnia, ten „Great Eastern”, miasto pływające w którym zamieszkiwałem przez cały miesiąc, to spotkanie Ellen i Fabijana, ta nieporównana Nijagara; to wszystko wydałoby mi się snem tylko! Ach! co to za przyjemność podróżować, nawet kiedy się powraca, cokolwiek mówił o tem doktor! Przez osiem miesięcy nie słyszałem nic o moim oryginale. Ale dnia jednego oddano mi list z poczty, pokryty różnokolorowymi pieczętkami, który się rozpoczynał temi słowy:

„Na brzegu Coringuy skały podwodnej Auklandu. Przecież rozbiliśmy się...”.

A kończył się tak:

„Nigdy nie byłem zdrowszy!

*Z całego serca Twój,*  
Dean Pitferge”.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/miastoplywajace/>

Tekst opracowany na podstawie: Julijusz Verne, Miasto pływające, Redakcja "Opiekuna Domowego", Warszawa 1872.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Biblioteka Publiczna m.st. Warszawy z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki Głównej Województwa Mazowieckiego. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Oltusek, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Stary parostatek, Paul Klee (1879–1940), domena publiczna

ISBN 978-83-288-1007-5

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

JULES GABRIEL VERNE *Miasto pływające* 243  
Przekaz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska,

KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwiązać bi-